
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Gryzelda Nizioł Lachocka – *Niezapomniane jutro*

Autorka tej relacji urodziła się na Polesiu w osadzie wojskowej w rodzinie siedmiorga dzieci. Z wybuchem wojny w 1939 roku, Gryzelda mając osiem lat, skończyła dwie klasy szkoły powszechnej. Wywieziona z rodziną do Rosji na Syberię 10-tego lutego 1940 roku, spędziła dwa lata w okropnej nędzy i głodzie. Z chwilą amnestii, rodzina opuszcza północną Syberię, aby zacząć pracę na roli w sowchozie blisko Taszkientu. Podróż w towarowym pociągu trwała trzy miesiące. Publikowany poniżej tekst pochodzi z książki G. Nizioł Lachockiej pt. *Niezapomniane jutro*. „*Kto przeżyje wolnym będzie, a kto umarł, wolny już*”, Lawrenceville, Virginia 23868 USA, 1999. Przedruk w „Zesłańcu” za zgodą Autorki. (red.)

*

Weześnie rano dochodzimy do miasta, które nazywa się Archangielsk. Tam zbierają nas wszystkich w ogromnym teatrze, z którego usunięto wszystkie siedzenia. Teatr ten chyba nigdy nie był świadkiem tak wielkiej tragedii ludz-

kiej. Nigdzie nie można się ruszyć, bo można się zgubić. Nawet wyjście do ustępu wymaga wielkiej odwagi. Organizują nas w grupy i wysyłają do „bani”. Ludzie cieszą się, że w końcu będą mogli się wykapać. Popędzają, pchają tą „polską swołocz”, którą trzeba nauczyć trochę kultury. Także żeby nas trochę odwszyć, więc zabierają wszystkie ubrania do dezynfekcji. Po kąpieli nikt nie może się ubrać, bo przy gorącej parze wszystko się pokurczyło.

W takim oplakany stanie prowadzą nas do restauracji, gdzie przy stołach dają nam gorący posiłek. Po tak długiej podróży głodni, zmarznięci, nie ma dziecka, które by nie było chore. Tadzik ma wysoką gorączkę i całą głowę pokrytą wrzodami. Między chorymi przewijają się siostry sanitarne i niektórych zabierają do szpitala. Chcą zabrać Tadzika, ale mama nie chce go samego puścić. Jak go zabiorą, to może go nigdy już więcej nie zobaczymy. W końcu pozwalają mamie jechać razem z Tadzikiem. Brońcia musi wziąć cały ciężar rodziny na siebie. Coraz to nowa grupa ludzi znika. Nikt nie wie gdzie jadą. Przyszła kolej i na nas, ale nie chcą nas wszystkich razem zabrać. Każą Brońci jechać najpierw. Teraz Emcia, która ma zaledwie piętnaście lat, musi opiekować się czterema młodszymi siostrami.

Wpakowano nas na jakiś pojazd. Nie pamiętam już co to było, bo począwszy od autobusów, ciężarówek, sanek i na piechotę, przetransportowali ludzi z Archangielska. Jechaliśmy bardzo długo. Późno w nocy, a musiała to być niedziela, bo nikt nie pracował, zrzucano nas w jakimś warsztacie. Ciemno i zimno. Skurczyliśmy się na podłodze i próbowaliśmy zasnąć. Wszystkie byłyśmy chore i miałyśmy rozwolnienie, a nie było ustępu. Na dwór też nie było można wyjść, bo drzwi były zamknięte. Zwycięska armia obawiała się, że ta nasza piątka dzieci ulotni się z ich Raju.

Rano, gdy robotnicy przyszli, musieli najpierw zabrać się do sprzątania. Krzyczeli na nas i myślałyśmy, że będą nas bić. Oni rozpalili piec, stopili śnieg na wodę i zagotowali „czaj”. Nam kiszki grały marsza, ale co się ktoś zbliżył do nas, to my wszystkie w płacz. Był tam jeden bardzo stary robotnik, który nazywał się Grysza. On postanowił się nami zająć. Chcąc nas zabawić zaczął wyjmować swoje sztuczne szczęki i podrzucać je w górę. Gapiłyśmy się z zaciekawieniem, bo żadna z nas nigdy nie widziała sztucznych szczęk. To nas trochę udobruchało i już nie bałyśmy się ich tak bardzo. Zaczęli się nas pytać skąd my jesteśmy i jak dostaliśmy się tu. Żadna z nas nie znała rosyjskiego, więc trochę słowem, trochę rękoma, nim dowiedzieli się, że my jesteśmy wysiedleńcami z Polski, a my – że jesteśmy na Syberii. Już więcej nie bałyśmy się ich i łączywie złapałyśmy szklanki herbaty z cukrem na „prykusku”. Dali nam także po kawałku chleba, a później zawiadomili komendanta obozu, który przyjechał sankami zabrał nas do obozu „zakluczonych”.

Pokój, który dostałyśmy, był także pokojem Brońci, która teraz pracowała w cegielni. Bardzo ucieszyłyśmy się, gdy wieczorem przyszła z pracy. Byłyśmy znowu razem. Nasz barak miał dużo takich pokoików. Gołe ściany. Okno pod sufitem. Jedna żarówka na korytarzu. Było także jedno żelazne łóżko, ale bez materaca.

W tym samym baraku była nasza sąsiadka Ignalowa, ale już tylko z trojgiem dzieci. Reszta zmarła w podróży. Przy końcu baraku była malutka klatka. Ta klatka służyła za pokój dla starszej, zupełnie niedołożnej kobiety, którą znałyśmy z naszej osady. Rodzina zostawiła ją, żeby nie była im ciężarem. Ona tam tymczasowo zamieszkała.

Rano Brońcia z Emcią muszą iść do cegielni do pracy. One mieszają glinę na cegły. Michalina mając lat trzynaście, zabiera Helenę, mnie i Józia do kolejki po chleb. Co zbliżymy się do sklepu, to nas odepchną i tak przestałyśmy pół dnia, aż się chleb skończył i zamknięto sklep. Wracamy do baraku bez chleba. Po drodze nabieramy do czajnika gorącej wody. W baraku dodajemy trochę soli i to nasz posiłek na cały dzień. Brońcia z Emcią wracają z cegielni głodne i zmordowane, a tu nic nie ma do jedzenia. Wszyscy płaczemy z rozpacz. Brońcia poucza nas jak trzeba stać w kolejce i przyrzekamy, że jutro pewnie kupimy chleba. Wieczorem przychodzą dwie młode Rosjanki i mówią, że potrzebują dziewczynki do pilnowania dzieci. Mówią, że Michalina i Helena są jak raz dobre, więc przyjdą jutro je zabrać. Nikt nic nie miał do powiedzenia, więc czekałyśmy na jutro. Ja się jedynie martwiłam, bo teraz sama będę musiała stać po chleb.

Tak się tym przejęłam, że nie mogłam zasnąć. Brońcia z Emcią kompletnie wyczerpane z sił, śpią skurczone pod ścianą. Pod drugą ścianą śpi Michalina z Heleną. Józia i ja zajmujemy resztę miejsca. Nagle słyszę stuk do drzwi. Boję się ruszyć. Coś się obsunęło po drzwiach i słyszę bardzo słaby głos: „Bronieczka, Bronieczka, otwórz drzwi i wpuść mnie, bo mnie wyrzucili z mego pokoju”. Była to ta starsza sąsiadka, którą rodzina zostawiła. „Bronieczka, Bronieczka, wpuść. Jak wrócimy do Polski to ci odpiszę całą gospodarke”. Jej głos był tak słaby, a Brońcia tak okropnie zmęczona wcale jej nie słyszała i wcale się nie ruszyła. Kobieta coraz to więcej obiecała, aż w końcu ucichła. Ja myśląc, że ona odeszła, zasnęłam. Rano, jak Brońcia otworzyła drzwi, to zastała ją zamarzłą w siedzącej pozycji. Brońcia idąc do pracy, zawiadomiła komendanta o śmierci tej nieszczęśliwej kobiety. Gdyby rodzina wiedziała, że ona tak szybko umrze, to może by jej nie zostawili, a teraz niech ich męczy sumienie.

Żaraz po odejściu Brońci i Emci do pracy, przyszły te „*kacapki*” i zabrały Michalinę z Heleną. Michalina miała być w następnej wiosce, ale Helena pojechała aż do Archangielska. Czy one kiedykolwiek wrócą do nas? Nie wiadomo. Zakup chleba i kolejka jest wyłącznie moją odpowiedzialnością. Idę sama. Nie budzę Józia, bo nie ma co jeść, a poza tym nie muszę się nią opiekować, to może dam radę kupić trochę chleba. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, kolejka była już bardzo długa. Stałam i nie pozwoliłam się usunąć. Coraz więcej ludzi przybywało i zrobił się straszny tłum. Trochę się tym ucieszyłam, bo byłam prawie w środku i już tak nie marzłam, ale będąc bardzo mała, byłam coraz to bardziej ściśnięta i zaczęło mi brakować tchu. Nie pamiętam kiedy otworzono sklep, bo ja znalazłam się na podłodze z krwawiącym nosem i ludźmi przestępującymi przeze mnie. Płakałam w niebogłoso, bo straciłam kolejkę i znowu była mała nadzieja kupna chleba. Na całe szczęście jedna ze sklepowych podszła do mnie, obtarła mi nos i wzięła mnie na sam początek kolejki. Kupiłam dwie bułki chleba i z radością pobiegłam do domu. Później wzięłam wiadro i poszłam po gorącą wodę. Jak Brońcia z Emcią wróciły z pracy to cała nasza czwórka miała skromną kolację. Codziennie nabierałam wprawy i teraz zakupy szły mi dość sprawnie. Jak się znalazł jakiś ekstra rubel, to nawet poszłam do stołowni żeby kupić porcję zupy, którą później rozrabiało się wodą, żeby wszystkim starczyło i tak żyło się z dnia na dzień.

Na Syberii wiosna przychodzi bardzo późno. Ledwo stopił się śnieg, cała przyroda jakby na wyścigi pokryła się zielenią. Kwiaty polne rozkwitały w oczach. Niedaleko naszego obozu był ogromny las, gdzie było wiele różnych ja-

gód, grzybów i zwierzyny. Chociaż nasz obóz był obozem więźniów, cały ogrodzony z wieżami, w których byli strażnicy z bronią, ludziom nie bronili iść do lasu. Dobrze wiedzieli, że kto by chciał uciec, to albo go zjedzą wilki, albo komary. Poza bramą był cmentarz i ludzi w obozie ubywało, a cmentarz rósł. Rodzina Ignalów kompletnie wymarła. Nie było dnia bez pogrzebu, tak że ruch w obie strony był bez żadnych przeszkód.

Drogą z Archangielska szła mała grupka ludzi z workami na plecach. W grupie tej była nasza mama, ale Tadzika nie widziałam. Wystraszyłam się, że on umarł. Dopiero później zauważyłam, że idzie za mamą. Bardzo się ucieszyłam.

„Czy mama wiedziała, że my tu jesteśmy?”

„Nie, ale kazali nam iść w tym kierunku. Tadzik wyzdrowiał, a ja w szpitalu obsługiwałam chorych”.

W worku było trochę żywności i jakieś buty, które dostała mama w szpitalu. To był pierwszy dobry posiłek w naszym obozie i chyba Brońcia miała pierwszą noc, kiedy mogła naprawdę odpocząć. Mama też musiała pójść pracować do cegielni. Ma wózek, na którym mieści się 200 cegieł. Ma załadować te cegły na wózek i po szynach zepchnąć do szopy (szatr) i wyładować cegły na półki do suszenia. Brońcia też zaawansowała, bo zamiast mieszać glinę, to pracuje w szatrach. Zbiera wysuszone cegły i wozi je do wypalania. Ona bardzo się cieszy z tej pracy, bo w tych szatrach często chroni się bydło, więc ukradkiem doi krowy i pije mleko. Nawet kilka razy, po kryjomu, przyniosła trochę do domu. Gdyby ją złapali, to wywieźliby ją do gorszego obozu.

Latem dni są bardzo długie, więc po pracy wszyscy idą do lasu na jagody. Co za urodzaj! Przynosimy do domu całe kosze czarnych jagód, moroszek (jagody podobne do malin o pomarańczowym kolorze, bardzo smaczne) i grzybów. Jemy, przebieramy, przygotowujemy do sprzedaży, a rano idąc do pracy, mama, Brońcia i Emcia niosą pełne kosze pod „stołownię”. Ja siadam na schodach i sprzedaję. Jednego rubla za szklanekę jagód. Ludzie szybko rozkupują, a ja zadowolona lecę po chleb, a potem zupę. Teraz już nam głód tak nie dokucza. W sklepie można nawet kupić chałwę, śledzie i mydło, a czasem jakiś materiał na sukienkę lub bluzkę.

Zbliża się wrzesień i zapisują dzieci do szkoły. U nas tylko mnie przypada ten zaszczyt. Przyrzekli mamie, że Józię może wezmą później. Ja z chęcią idę do szkoły. W Polsce kończyłabym już trzecią klasę a tu idę do pierwszej. Wcale mnie to nie martwi. Szybko nauczę się pisać i czytać to wtedy będą musieli mnie dać do wyższej klasy. Dostałam nowe trzewiki, mundurek i czerwoną chustkę na szyję. Komsomoł, jakich mało. Początkowo idzie mi bardzo opornie, ale około Bożego Narodzenia jestem tak dobrą uczennicą jak każda Rosjanka i potrafię czytać i pisać. Na Nowy Rok przyszedł „Dziadzia Moroz”, i nawet dał nam jakieś słodycze.

W tym także czasie, a właściwie w wigilię Nowego Roku, Brońcia wychodzi za mąż. W naszym obozie było dużo młodzieży w Brońci wieku i romans może kwitnąć w najbardziej niesprzyjających warunkach. W sobotę po pracy Brońcia z Bronkiem poszli do „Kantory” (biura), zapisali się i zostali małżeństwem. Przyjęcie składało się z cebuli z chlebem. Była także wódka, ale z braku jedzenia po pierwszym kieliszku wszyscy byli pijani. Mama uważała, że to był bardzo rozsądny krok, bo Broniek był dobrym mechanikiem i teraz nasza rodzina będzie miała mężczyznę, który się nami zaopiekuje. Ta zima była

stosunkowo lekka do przetrwania. Ludzie nasuszyli jagód i grzybów, zakwasili kradzionej kapusty, ale ciągle brakowało mięsa.

Dostaliśmy mały domek, w którym był tylko jeden dosyć duży pokój i jedno okno. Mieszka tam Brońcia z mężem i cała nasza rodzina. W lecie ten domek był przyjemny, ale w zimie szron pokrył ściany i podłogę i woda zamarzała. Podłoga była z desek, w których były szpary i które leżały wprost na ziemi. Choć niby mamy cały dom – jedna izba – tylko dla nas, są nowe kłopoty. Przedtem do sklepu, stołówki i po wodę było kilka kroków. Teraz to wszystko jest kilometr dalej. Zanim kupię chleb i jakąś zupę i przyjdę do domu, muszę jeszcze iść z wiadrem po wodę. W lecie nie ma biedy. Zawsze biorę „kipiatok” (gorącą wodę), ale w zimie cała tragedia. Kipiatok można dostać tylko rano, a ja muszę iść do szkoły, a potem stać po chleb. Wodę muszę ciągnąć ze wspólnej studni. Zanim wyciągnę to połowa się wyleje. Idąc do domu trochę rozlewam, a reszta zamarza. Czasem muszę iść dwa razy, żeby przynieść wystarczająco na kolację i na śniadanie. O myciu i praniu nie ma mowy.

Za naszym domkiem było kartoflisko. Ja często biorę ze sobą Józję i Tadzika i tam niby się bawimy, ale właściwie szukamy kartofli. Kartoflisko to było strzeżone przez żołnierza na koniu. Raz znalazłam kilka kartofli, schowałam je do kieszeni, a tu zjawia się ten diabeł. Nie mogłam uciec. Kazał mi wyjąć wszystkie kartofle z kieszeni i powiedział, że jeżeli jeszcze raz mnie tu złapie, to zamknie mnie w „ciurmie” (więzieniu), bo okradam Związek Sowiecki.

Po Nowym Roku komendant obozu kazał mamie przyjść do kantory. Mama wzięła mnie za tłumacza i poszłyśmy.

„My weźmiemy Twojego syna i córkę do szkoły. Oni dostaną nowe buty i ubranie. Ty nie musisz się o nich martwić, bo oni będą mieszkać z dziećmi w ich wieku i będą mieć opiekę”.

„Gdzie jest ta szkoła? Dlaczego oni nie pójdą do tej samej szkoły, do której chodzi Gryzelda?”

„My chcemy im dać lepszą szkołę i lepszą opiekę”.

„Ja chcę wiedzieć, gdzie jest ta szkoła i czy Gryzelda może być z nimi?”

„My możemy wziąć tylko Józję i Tadzika. Gryzelda jest za stara”.

„Ja nie puszcze ich samych. Jak Gryzelda nie może być z nimi, to oni nie pójdą”.

Ja nie wiem, co mama myślała, co ja mogłabym zrobić jakbym pojechała z Józją i Tadzikiem.

„Ty dobrze o tym pomyśl, bo za tydzień my ich zabierzemy”.- zagroził komendant.

Rzeczywiście, po tygodniu znowu komendant zawołał mamę do kantory.

„Przyprowadź dzieci!” – rozkazał komendant.

„Ja już wam powiedziałam, że Józia z Tadzikiem sami nie pojedą. Oni są za mali, żeby być bez opieki”.

„Jak ty im nie pozwolisz jechać to oni umrą z głodu. Jeszcze pożałujesz”.

„Oni sami nie pojedą” – upierała się mama.

Komendant rozzłościł się: „ja ci mówię, że pożałujesz”.

Mama nic nie odpowiedziała. Na drugi dzień w szkole nauczycielka zawołała mnie i powiedziała: „tu już więcej nie możesz do szkoły przychodzić.

Jutro przynieś trzewiki i mundurek”. Tak się skończyła moja edukacja, a mamy porcja chleba została zmniejszona o sto gramów.

Przyjechała do nas jakaś Rosjanka z Archangielska i wzięła mnie do siebie, żeby pilnować jej dziecka. Ucieszyłam się, że może zobaczę się z Heleną. Józia teraz będzie musiała stać po chleb. Ta Rosjanka miała dwa pokoje, małą kuchenkę i łazienkę. Luksus! Sama była nauczycielką i miała przy sobie matkę. Dziecko miało zaledwie dwa miesiące. Cieszyłam się, że będę w cieple, suszy i będę miała co jeść. Niestety. Matka nie dała mi się do dziecka dotknąć. Kazała mi pracować pieluchy w zimnej wodzie, myć naczynie i zamykać podłogę. Pieluchy podobno prałam za brudno, a przy zamiataniu robiłam dużo kurzu. To było całe moje zajęcie i nie wolno mi było się ruszyć z pokoju. Spałam na podłodze pod kołyską, a jeżeli chodzi o jedzenie, to jadłam tylko rybę, która wyglądała jak sardynka, była bardzo tłusta i pływała w wodzie. Ani kruszyny chleba.

Po tygodniu tak się rozchorowałam, że nigdy nie mogłam dolecieć do ustępu. Pod koniec drugiego tygodnia wcale już nie wstawałam i w takim stanie odesłano mnie do obozu, a ja nawet nie wiem w jakim kierunku, albo jak daleko. Nauczycielka znalazła kilka osób, które szły kierunku Ujmy, tak się nazywała najbliższa wioska. Kazała mi się dołączyć do nich. Nie mając za wiele siły zostawałam daleko w tyle. Gdy trochę odpoczęłam musiałam biec, aby ich dogonić.

Wyszliśmy z samego rana, a tu już zaczynało się robić ciemno. Wreszcie ostatnia osoba opuściła mnie. W dali widać było światła więc kazała mi iść w tym kierunku. Szłam i przewracałam się w śniegu. Myślałam, że się utopię. Nie miałam wyboru to szłam wytrwale. Po drodze musiałam się ukrywać, bo napotkałam całą kolumnę czołgów. Wskoczyłam szybko w śnieg i zakopałam się po szyję. Długo tam siedziałam, aż ostatni czołg minął. Szybko odgrzebałam się i ostatkiem sił dotarłam do obozu. Jak opowiedziałam mamie dlaczego jestem w domu, to obie popłakałyśmy się.

Zapasy zimowe skończyły się i głód zaczął wszystkim dokuczać. Do nas docierają wiadomości o wojnie z Niemcami. Mówią, że Niemcy tak się szybko posuwają, że może dojdą do nas. Nasza wolność została bardzo ograniczona. W tym czasie Helena zachorowała na zapalenie płuc. Helena była długo chora, ale jej Rosjanka nie chciała jej wziąć do doktora, bo nie byłoby komu opiekować się dzieckiem. Dopiero jak Helena dostała silnej gorączki i nie mogła wstać, Rosjanka bojąc się, że dziecko może się zarazić, wzięła ją do doktora a doktor odesłał ją do szpitala. W niedzielę Brońcia pojechała do szpitala w Archangielsku, żeby ją odwiedzić. Tam też zobaczyła rannych żołnierzy. Kierowniczką szpitala zapytała się jej, czy nie chciałaby pracować w szpitalu, ale Brońcia już dosyć widziała trupów i ta praca by ją zupełnie wykończyła.

Po pracy komendant zawołał mamę do swojego biura. Mama wystraszona wlokła się z sercem na ramieniu. W biurze na stole leżała otwarta paczka. „Kto jest Gienia?” – zapytał komendant. Mama ledwo słyszalnym głosem powiedziała, że to Brońci koleżanka, z którą razem chodziła do szkoły. „Musiała być bardzo dobra koleżanka, skoro przysłała wam paczkę”. Mama prawie nie zemdlała. Paczkę dla nas? „Weź to wszystko, to jest twoje”. Mama pozbierała to wszystko w płaszcz i cała drżąca szła do baraku.

Co za dobroć ze strony Gieni. Ona zaledwie ukończyła siedem klas, ale dała radę odszukać nas i przysłać nam taki skarb, podczas gdy Mamy rodzina, wykształcona, ciągle stała pod bramą komendy rosyjskiej w Warszawie i nic nie

mogła się dowiedzieć. W paczce było mydło, herbata, cukier, słonina i mąka. Był to wielki skarb dla nas. Brońcia szybko odpisała list dziękując stokrotnie. Dostaliśmy jeszcze jedną paczkę od Gieni. Brońcia znowu napisała, ale nigdy nie dostaliśmy od niej żadnej wiadomości. Co za szlachetna osoba. Na pewno im się samym nie przelewało, a myśleli o nas.

Znowu zbliża się lato. Cieszymy się, że będziemy zbierać jagody. Gdy nasza chmara wyjdzie do lasu, to majestatyczne drzewa wydają się być zgorszone naszą śmiałością. Swoimi koronami przysłaniają niebo chcąc nas zmusić do zostawienia ich w spokoju. Nasze władze obozowe stały się bardzo tajemnicze. Dużo młodych strażników zniknęło. Ludzie starają się domyśleć co to wszystko znaczy. Każdy stara się złapać jakieś słowo i wyciągnąć z tego jakieś w nioski. Wreszcie dowiadujemy się, że Niemcy są pod Leningradem. Cieszymy się po cichu, że się zbrodniarze wzajemnie mordują, ale nie jesteśmy pewni jak to nas dotyczy.

Amnestia! Amnestia! Co to wszystko znaczy? Ludziom się w głowie miesza. Nikt nie chce wierzyć. Czy jesteśmy wolni? Tak, możemy wyjechać z Rosji. Wszyscy mężczyźni mogą zapisać się o polskiego wojska, które tworzy się na południu Rosji. Nikt właściwie nie wie gdzie się to wojsko tworzy, ale każdy chce jechać. Otworzyły się więzienia i kto tylko ma trochę siły, jedzie na południe. Odjeżdża także wiele rodzin z naszego obozu. Są to ci, którzy mają jakieś zapasy żywności, mogli sprzedać i kupić bilety kolejowe. My nie tylko, że nie mamy pieniędzy na kolej, ale nie mamy wystarczająco na chleb. Przy końcu miesiąca zamiast dostać wypłatę, to mama jest im zawsze winna.

Mama sprząta warsztat i ta praca jest o tyle dobra, że jest sucho i ciepło. O żywność coraz trudniej. Kilka kobiet szło na pole ścinać kapustę. Tadzik z Józją powlekli się za nimi. Tadzik nie miał siły iść za nimi w pole, więc przysiadł się przy pierwszej główce kapusty, zaczął łamać listki i jeść. Jak to zobaczył strażnik, przyleciał do niego i zaczął krzyczeć, a potem wziął kija i zaczął go bić gdzie popadło. Tadzik na swoje pięć lat był bardzo malutki i niesamowicie chudy. Nie miał siły, aby się bronić. Zostałby zabity gdyby Józja nie zauważyła i narobiła krzyku. Zaraz z kobietami przyleciały do Tadzika i zaczęły go osłaniać od ciosów. Wreszcie jedna kobieta złapała Tadzika na ręce i przyniosła go do baraku, a sama wróciła do pracy. Józja obtarła Tadzika z krwi tak jak mogła i zostawiła go w łóżku. Teraz Józję i Tadzika budziło się tylko wtedy, gdy było co jeść.

Ja wybieram się z kilkoma dziewczynkami na szczaw, ale musimy przekroczyć Dwinę. Nie ma żadnego mostu, za to na Dwinie jest spław drzewa. Lecimy po klockach i już jesteśmy na drugiej stronie rzeki na ładnej łące, pełnej szczawiu. Zbieramy tak szybko jak możemy, bo z dala zbliża się grupa „ruskich komsomołów”, którzy z daleka krzyczą, że nas potopią. Nam nie trzeba dwa razy powtarzać. My nogi zapas, a oni za nami. Niejeden cyrk poszczyciłby się naszymi wyczynami. Tylko trochę zamoczyliśmy się i znalazliśmy się na drugim brzegu, ale bez szczawiu.

Głód coraz bardziej nam dokucza. Ja znowu całymi dniami stoję w kolejce i rzadko kiedy mogę coś kupić. Jednego dnia przestałam cały dzień i dopiero pod wieczór dostałam trochę chleba. Po drodze nabrałam „kpiatku” i lecę do domu, żeby zbudzić Józję i Tadzika i dać im trochę jeść. Józję obudziłam szyb-

ko, ale Tadzika nie mogę się dobudzić. Trzępię nim, krzyczę i wreszcie wołam sąsiadkę na pomoc. Ona też próbuje i nic. Zagląda w oczy, bada puls, nic. Myślę, że on umarł. Ja w płacz i biegiem po mamę, ale nie wiedziałam dobrze, gdzie mama pracowała, więc krzyczałam całą drogę: mamó, mamó. Padałam po dołach, ale ciągle leciałam. W końcu znalazłam mamę, ale jeszcze nie był czas zakończenia pracy i nie chcieli mamy puścić. Ja zaczęłam krzyczeć, że Tadzik umarł, niech mama szybko idzie do domu. Wreszcie ubłagałyśmy kierownika i mamę puszczono. Tylko wyleciałyśmy z warsztatu i usłyszałyśmy gwizdek na zakończenie pracy. Leciałyśmy jak obłąkane. W tym czasie sąsiadka zaczęła Tadzika nagrzewać, nacierać, ruszać i po dłuższym czasie, Tadzik się obudził. Błędnyimi oczami wodził dookoła i nikogo nie poznawał. Mama miała trochę cukru, osłodziła gorącą wodę i dała mu się napić. Potem maczała chleb w słonej wodzie i dawała Tadzikowi. Później zgotowała trochę kaszy i wszyscy pożyliśmy się. W nocy często budziłam się i nasłuchiwałam czy Tadzik oddycha.

Głód był nie tylko u nas. Wszyscy cierpieli. Nie było już nawet co sprzedać. Mama wybiera się do pobliskiej wioski i jedyna rzecz jaką ma, to ślubna obrączka i do tego pęknięta. Nikt nie chce kupić. Wreszcie jedna kobieta zlitowała się nad mamą i dała trochę kartofli. Mama przywlokła się do obozu z tym skarbem i na kolację mieliśmy kartofle, ale nie obierane, żeby nic nie tracić. Ja nie tylko jestem głodna, ale zaczynam mieć koszmarne sny. Śni mi się, że mama czeka, żebyśmy wszyscy zasnęli, to nas wszystkich wyrznie. Podobne wieści słyszałam jeszcze jak byliśmy na osadzie. Staram się przed snem pochować wszystkie noże. Teraz mama nie może się przewrócić, żeby ja nie słyszała. Kilka razy w nocy wstaję i nadśluchuję czy wszyscy żyją. Dopiero jak mama pójdzie do pracy, to ja mogę trochę zasnąć.

Jestem wyczerpana głodem i brakiem snu. Kilka kobiet idzie do lasu na jagody. Ja wybieram się z nimi, ale jestem tak słaba, że co chwila przysiadam, a potem muszę ich szukać, żeby się nie zgubić i nie mam czasu na zbieranie jagód. Pod wieczór wracam do domu z pustym koszykiem ku rozpaczycie mamy. Znowu nie śpię całą noc. Mama dostała małą zaliczkę. Szybko poszłam w kolejkę i kupiłam chleba, a w drodze powrotnej kupiłam talerz zupy. To nas trochę posiliło i po pracy mama, Brońcia, Emcia i ja poszliśmy na jagody. Nazbierałyśmy pełne kosze jagód i grzybów. Teraz cała rodzina będzie miała co jeść.

Na drugi dzień Brońcia, Emcia i ja pojechaliśmy do Archangielska, żeby sprzedać jagody. Ta jazda wyglądała tak. Nasz obóz, pierwszy – *kierpiczny zawod* – nie miał żadnego transportu. Do drugiego obozu trzeba było iść na piechotę z tymi koszami. To było około osiem kilometrów. Z drugiego obozu jechało się tramwajem do portu nad Dwina, skąd trzeba było wsiąść na statek do Archangielska. W Archangielsku sprzedałyśmy jagody bardzo szybko i kupiłyśmy kilka bułek chleba, tak że każda z nas miała worek na plecach i tak jechałyśmy do domu. W drugim obozie zafundowałyśmy sobie po talerzu zupy, którą jadłyśmy z naszym chlebem. Po naszym powrocie do domu była wielka radość. Pierwszy raz od dawna przespałam całą noc.

Mało kto choruje, ale codziennie ktoś umiera. Rodziny trzymają to w tajemnicy, żeby trochę dłużej pobierać chleb. Po czasie wykrywa się „zbrodnia” i cała rodzina zostaje ukarana odebraniem kartek żywnościowych przynajmniej na tydzień.

Ja dostałam się do jakiejś rodziny, by opiekować się trzymiesięcznym dzieckiem. Matka była w wojsku i cały czas przebywała w koszarach. Do dziecka zaglądała tylko raz na tydzień. Nie mam pojęcia jak sobie dawałam radę, w każdym bądź razie, matka była bardzo zadowolona, a dla nas była to wielka pomoc, bo mamę przenieśli do mniej płatnej pracy. Ja oprócz jedzenia i mieszkania, dostawałam miesięcznie 20 rubli. Kilogram chleba kosztował jeden rubel i pięć kopiejek. Mój zarobek odnosiłam do domu, albo mama przychodziła i zabierała. Wolałam, żeby mama przyszła, bo to było dosyć daleko i droga prowadziła przez cmentarz. Idąc do domu zawsze biegłam z duszą na ramieniu. Czasem nawet musiałam uciekać od wilka.

U nas w rodzinie pracuje mama, Brońcia, Broniek i Emcia. Michalina, Helena i ja jesteśmy u Rosjanek. Nie pracuje tylko Józia i Tadzik. Pięć osób pracuje, a jak przyjdzie wypłata, to nie ma pieniędzy, żeby robotnikom zapłacić. Za co kupić chleb? Teraz nie tylko ludzie pracują w cegielni, ale całą sobotę i niedzielę muszą pracować w polu przy kopaniu kartofli i zbieraniu innych jarzyn. Ludzie mdleją z głodu. Brońcia pracowała jak szalona myśląc, że będzie mogła wziąć trochę kartofli do domu. Po południu była tak wyczerpana, że zemdląca. Resztę dnia przeleżała, aby nabrać siły do powrotu. Gdy przyszło do zapłaty, kilka marchwi i kartofli były całą jej zapłatą. Po powrocie do domu, Brońcia zbuntowała się i powiedziała, że więcej do pracy nie pójdzie, aż jej nie zapłacą za to, co są jej winni. Ona „potrzebuje pieniędzy na chleb. Miała dużo poparcia od innych robotników, ale ją uważali za organizatorkę, więc zamknęli ją w więzieniu na trzy miesiące. Mama z Bronkiem w rozpacz, ale jeden policjant, który był bardzo przychylnie nastawiony do Polaków, zapewnił mamę, że Brońci w więzieniu będzie lepiej niż w obozie, bo będzie miała ciepło i co jeść. On też nauczył nas jednej piosenki, ale ostrzegwał, żeby nie śpiewać jej na głos, bo mogą nas srogo ukarać.

Pogibniesz Rosija, puszkaj pogibajet,
Ona proihrała wojnu.
Oni wojowali, karman nabiwali,
A nam prysyłali sucharow.
Pogibniesz towariszcz, pogibniesz w okopach,
Podajcież liż chleba, wody,
Da liż podajcie kusoczok bumagi,
Piśmo do rodziny napisać...

Gdy mama przyszła z pracy, to my chcieliśmy się pochwalić nową piosenką. Mama aż zbladła, gdy to usłyszała: „Nigdy, jeszcze raz mówię, nigdy, nie śpiewajcie tej piosenki bo nas wszystkich wymordują!”

Ci, co pracowali na roli, to w czasie dnia ścinali kapustę i układali w dołach wysłanych słomą, żeby kapusta skwaśniała. Dobrze pamiętali, gdzie są te doły. Ta kapusta miała być dla bydła, a ludzie umierali z głodu. To samo było z kartoflami. Jak się skończyły żniwa, to ci sami robotnicy co zakopywali kapustę i kartofle, zaczęli po nocy odkopywać te doły i kraść. Była to bardzo niebezpieczna praca i tylko w ten sposób ocalili swoje rodziny.

Komendant kazał mamie zabrać wszystkie dzieci do domu i zawiadomił wszystkie rodziny rosyjskie, żeby odesłały polskie dzieci. Ja zaczęłam się zbierać. Do swoich podartych butów włożyłam słomę, nałożyłam na nogi i obwiąza-

łam sznurkiem. Gdy ona to zobaczyła, kazała mi to szybko zdjąć i dała mi swoje walonki. Były to bardzo ładne wełniane, długie buty.

„Weź te walonki, a jak dojdiesz do domu to niech twoja matka przynieś je z powrotem, bo to tylko jedyne jakie mam”.

Byłam jej niezmiernie wdzięczna, bo było bardzo zimno. Na drugi dzień mama odniosła jej walonki z podziękowaniem. Kazano nam się przygotować do podróży na południe, bo wysyłają nas do sowchozu. Ten sowchoz miał być w okolicy Taszkientu.

Nikt nie wiedział, gdzie jest ten Taszkient, ale to nie robiło żadnej różnicy. Ważne było to, że wszyscy będą pracować na roli. Mama poniekąd cieszy się, bo mówi, że na roli jest zawsze łatwiej wyżyć. My naturalnie nie możemy kupić biletów, więc dostajemy bilety, za które trzeba będzie odrobić na nowym miejscu. Mama jeszcze ciągle odrabia to, co jest winna w cegielni. Broniek pomaga nam jak może. Nawet zaopatrzył nas w kartofle i kapustę, ale obawia się, że mogą go złapać i zamknąć, a wtedy już nigdy nie wyjedzie z Rosji. Mama choć godzi się na wyjazd, nie chce wyjechać zanim Brońcia nie wyjdzie z więzienia. Broniek też czeka na jej powrót, bo chce wyjechać do wojska.

Archangielsk opuszczamy nocą. Choć jest bardzo późno, nikt nie śpi. Każdy skulony na pryczy ze strachem myśli o przyszłości. Ci, co zostawili swoje dzieci czy najbliższych na grobach Ujmy zaczynają żałować, że zdecydowali się na tak niepewny krok. Tymczasem pociąg pędzi. Docieramy do Wołogdy. Tam spychają nas na boczne tory, do miasta daleko. Nikt nie może nic kupić. Nawet kraść nic nie można, bo nie ma gdzie. W nocy, po ogromnym przetasowaniu wagonów i zmianie torów, pociąg nabiera szybkości. Po kilku dłuższych przystankach docieramy do Moskwy. Na zachód pędzą długie sznury wagonów wypchnych wojskiem, a my stoimy na bocznym torze. W naszym wagonie i w całym pociągu panuje straszna nędza, do tego stopnia, że ludzie chodzą po śmietnikach i zbierają obierki z kartofli. Chodzą także po domach i żebrzą.

Ja wyszłam z wagonu i idąc po torach poczułam zapach placków kartoflanych. Skierowałam się w tę stronę i zapach był coraz to silniejszy. Przeszłam pod wagonami i doszłam do otwartych drzwi. Zobaczyłam schody idące na górę. Weszłam na piętro i nieśmiało zapukałam do drzwi. Otworzyła je młoda kobieta i była bardzo zdziwiona jak mnie zobaczyła.

„Ja jestem bardzo głodna i przyszedłam tu, bo te placki kartoflane bardzo pachną”.

„Wejź!” – odezwała się Rosjanka.

Weszłam do małej kuchenki. Na dzieciennym krzeselku siedziało małe dziecko i jadło placki, a na kuchni smażyło się więcej. Rosjanka wzięła jeden plack od dziecka i dała mnie. Połknęłam szybko i z niepokojem patrzyłam na drzwi.

„Poczekaj, dam ci więcej”, przyjaźnie zapraszała matka dziecka.

Tak szybko, jak się usmażyły nowe placki, dała mi wszystkie, a w międzyczasie zasypała mnie pytaniami. Odpowiadałam jej tak szybko jak mogłam, jedząc gorące placki i parząc sobie usta. Później dała mi jeszcze jedną porcję i coraz więcej zadawała pytań. Ja jednak ze strachu, że pociąg może odejść bez mnie, złapałam placki, podziękowałam jej i zaczęłam biec do pociągu. Mój bieg wcale mi nie przeszkadzał, żeby nie mogła zjeść wszystkich placków, tak bardzo mnie nęciły. Na szczęście pociąg jeszcze stał. Te placki bardzo mnie posili-

ły, ale czułam się bardzo winna, że nie przyniosłam żadnego, żeby się podzielić z resztą rodziny. Głodny człowiek zachowuje się jak zwierzak.

Stoimy w Moskwie trzy dni. Jak zwykle w nocy pociąg rusza, ale po krótkim czasie nastaje cisza. Rano wszyscy zamierają ze strachu. Jak okiem sięgnąć, pustkowie. Śnieg sięga do połowy wagonów – wywieźli nas na stracenie, wszystkie siedem wagonów. Wystarczy, żeby potrzyмали nas tu dwa tygodnie i wszyscy wymrą. Przez kilka dni palimy deski z pryczy, jemy resztki sucharów popijając łzami. Kobiety i starsi chłopcy uradzili, że ktoś musi dostać się do Moskwy i szukać pomocy. Trzeba zawiadomić jakieś władze. Pięć osób wybiera się na piechotę do Moskwy. Idą po szynach, to najpewniejsza droga. Uradzili, że muszą iść na południe.

Czas dłuży się niesamowicie. W piecu palimy tylko w nocy, kiedy jest najzimniej. Górne prycze znikły kompletnie i wszyscy duszą się na dolnych. Na twarzach maluje się ogromne przygnębienie i rozpacz. Często słychać kaszel dzieci i ciche szlochy starszych. Minęło już cztery dni. W tym czasie ani jeden pociąg nie przejechał w pobliżu nas. Coraz częściej rozlegają się szlochy. Józia z głodu dostaje skurczu kiszek. Wrzeszczy wniebogłosy i sinieje z bólu. Mama daje jej trochę ciepłej, słodkiej wody, ale to nic nie pomaga. Ktoś wyciąga stary, spleśniały suchar i to na chwilę ratuje sytuację.

W oddali słychać nadjeżdżający pociąg. Wszyscy zamieniają się w słuch. Co to będzie jeśli się okaże, że to jest pociąg z wojskiem niemieckim? Odgłosy słychać coraz bliżej i bliżej. Wszystkich ogarnia niesamowity strach. Jeżeli to są Niemcy to albo nas zabiją, albo zabiorą do niemieckich obozów. Każdy wstrzymuje oddech, żeby się niczym nie zdradzić.

Pociąg nas mija i tu nowa rozpacz. Na pewno zginiemy. Mija noc. W dali słychać jadący pociąg, ale nikt nie chce się przyznać, że słyszy. Każdy się obawia, że to może być złuda. Wreszcie lokomotywa sapiąc podjeżdża do nas, uderza i zaczepia wagony. Z wagonu wyskakuje nasza piątka z workiem chleba. Łzy radości dławią w gardle. Nie wiem, czy rodzina Łazarza była bardziej zadowolona z jego zmartwychwstania. Babcia K. leży krzyżem na podłodze i szlochając modli się dziękując Bogu za ocalenie od głodu.

Wracamy przez Moskwę. Już trzeci raz. Czy my nigdy nie wydostaniemy się z tego szkaradnego, rosyjskiego śmietnika? Co za okropne miasto! Humory się trochę poprawiły a Janek opowiedział w jaki sposób dostali się do Moskwy. „Najpierw szliśmy cały dzień i całą noc wzdłuż torów kolejowych. Często musieliśmy odgrzebywać śnieg, żeby zobaczyć czy nie zabłądziliśmy.

Na drugi dzień pod wieczór doszliśmy do jakiejś malutkiej stacyjki, która była kompletnie spalona. Tam postanowiliśmy zatrzymać się na noc. Co nas najbardziej pociągało do tej szopy, to zapach pieczonego mięsa. Ja byłem ostatni, ale moi towarzysze po ciemku dopadli coś i ukroili. Zanim doszła kolej na mnie, to zasnąłem ze zmęczenia. O świcie wyruszając zobaczyliśmy, że mięso mogło być albo z psa, albo z człowieka. Obaj byli jednakowo spaleni. Wskoczyliśmy jak z procy i do dziś nie wiemy, co smakuje gorzej, pies czy człowiek”.

Pociąg jedzie na zachód. Mijamy wioski, miasta, miasteczka i pola. W jednym miejscu na stacji stoi ogromnie długi pociąg z wagonami naładowanymi solą. Emcia wyskoczyła z wagonu boso i szybko wrzuciła dwie duże gruby soli. Wszyscy kradną ile się da. Pijemy *kipiatok* słony. Docieramy do następnej miejscowości, próbujemy coś kupić i dowiadujemy się, że ludność cierpi na brak

soli. Za kilogram soli, nikt nie waży, dolewa się jeszcze wody, żeby sól była cięższa, dostajemy kilku bułek chleba, jakieś „bliny” a za następny kilogram dostajemy litr mleka i trochę kaszy. Sprzedaliśmy tylko kilka kilogramów soli i zaopatrzyliśmy się na jakiś czas.

Pierwszy raz od wyjazdu z Archangielska jesteśmy najedzeni. W następnej miejscowości ludzie mają dosyć soli, natomiast żądają cukru i zapalek. My niestety nie spotkaliśmy się jeszcze z tymi artykułami na naszej drodze. Dojeżdżamy do stacji. W wagonach jest mąka. Wszyscy rzucają się, ale biały jej pył zdradza wielu. Pojawia się policjant i niestety Brońcia zostaje złapana. Policjant przychodzi z nią do wagonu, żeby spisać protokół. Brońcia wpada na pryczę, łapie dziecko sąsiadki i szczypie to biedactwo ile ma siły. Dzieciak drze się na całe gardło. Wszyscy drą się na policjanta. On nastawia karabin i mówi, że wszystkich wystrzela jeżeli Broncia nie pójdzie z nim na policję. Niektórzy tchórzliwi namawiają Brońcię, żeby poszła z nim, inni żeby została.

Sytuacja zaostrza się. Brońcia woli, żeby ją zabili, niż drugi raz iść do więzienia. Tu znowu Opatrzność przychodzi nam z pomocą. Pociąg rusza. Najpierw wolno, potem coraz szybciej. Policjant nie mając wyboru wyskakuje, a wszyscy oddychają z ulgą. Ten policjant nie musiał przyprowadzić Brońci do wagonu, żeby spisać protokół. Gdyby ją od razu zabrał na policję, to by na pewno poszła do więzienia.

Nigdy nie wiadomo, w którą stronę nas powiozą. Kierunek nasz zależy od maszynisty. Jak zobaczy, że dużo ludzi opuściło pociąg w poszukiwaniu jedzenia, to od razu opuszcza stację. Czasem przejeżdża tylko na inne tory, a wtedy ludzie wystraszeni błakają się po szynach kolejowych szukając swoich wagonów. Ci co zostaną, czasem całymi tygodniami gonią pociąg. Kilka osób zaginęło bez wieści. Lepiej umrzeć niż zostać z dala od pociągu. Michalina miała nieszczęście zostać jak pociąg ruszył i tak nam później opowiedziała o swoich przejściach.

Bardzo wcześnie rano pociąg stanął na jakiejś stacji i trzeba było zaopatrzyć się w chleb i zupę. Gdy opiekun pociągu zastukał do drzwi, ja złapałam za garnek a Brońcia za worek i wyszliśmy z wagonu, aby dołączyć się do grupy. Piekarnia czy sklep był blisko stacji, więc ta grupa pobrała chleb i szybko wróciła ropociągu, który już był w ruchu. Brońcia wrzuciła chleb do wagonu, ale sama tylko zdążyła wskoczyć na schodek między wagonami. Grupa pięciu osób, w której ja byłam, musiała iść bardzo daleko szukać stołówki. Jak doszliśmy, to jeszcze wszystko było pozamykane i nic nie dostaliśmy. Wracając do pociągu już go nie zastaliśmy. Odjechał bez nas. Poszliśmy na stację, ażeby dowiedzieć się o następny pociąg jadący w tym samym kierunku. Wiadomo, tych pociągów za wiele nie było. Całą dobę trzeba było czekać na stacji. Dopiero o piątej wieczorem nadszedł pociąg.

Po całym dniu czekania o głodzie i chłodzie, byliśmy zadowoleni, że pozwolili nam wsiąść do osobowych wagonów, ale niestety bez żywności. Tak jechaliśmy trzy dni dojeżdżając do stacji Arys. Jest to duża węzłowa stacja przed Taszkientem. Mama całkowicie straciła nadzieję, że mnie jeszcze zobaczy. Późną nocą zapukałam do naszego wagonu. Ktoś otworzył drzwi i od razu zaczęli się wypytywać, jak ja się dostałam, bo byłam tylko jedna z wagonu taka bohaterka.

Drugim razem też byłabym została, ale miałam lepsze szczęście. Pociąg zatrzymał się na krótko, aby zaopatrzyć się w wodę i paliwo. O parę kroków był

rozłożony rynek i znów trzeba było wyskoczyć, żeby zdobyć coś do jedzenia. W miejscowości tej brakowało soli, a my mieliśmy jej dużo. Wzięłam trochę do woreczka i szybko poszłam na rynek. Zanim wymieniłam sól na placki, pociąg gwizdnął i ruszył. Wszyscy szybko gnali, a ja byłam ostatnia i zaledwie złapałam się za poręcz ostatniego wagonu z otwartą platformą. W ten sposób jechałam na otwartym powietrzu w śniegu i mrozie, od dziesiątej rano do zmroku. Pamiętam, że najpierw stałam rozglądając się dookoła. Później usiadłam i musiałam zasnąć.

Dopiero obudziło mnie silne szarpnięcie zatrzymującego się pociągu. Chciałam się podnieść, ale poczułam, że jestem zupełnie sztywna. Od razu zrozumiałam, że zamarzałam przez cały dzień nie ruszając się. Nogi nie chciały się poruszać. Wiedziałam, że muszę dostać się do wagonu dopóki pociąg stoi, bo inaczej zamarznę na kość. Pomału dotarłam do wagonu z zamarzniętymi plackami w ręce. Nie wiem, czy ktoś pamięta jak one smakowały.

W pamięci pozostaje Archangielsk i Wołogda. Przez Moskwę przejeżdżamy trzy razy. Co za szkaradne miasto. Jedziemy na Żyrań, Kujbyszew, Czkałów i Orsk. Wreszcie pociąg mknie na południe przez Aralsk, Kazachstan aż do Uzbekistanu. Archangielsk opuściliśmy w styczniu, a tu już koniec lutego. Końca naszej podróży nie widać. Ludzie zaczynają wątpić czy nas kiedykolwiek zawiozą do Taszkientu. Wszystkich ogarnia głębokie przygnębienie.

Znowu zaczyna nam dokuczać głód. Znowu poszukiwanie obierek i odpadków do jedzenia. Kilka osób zakradło się do stojącego wagonu na stacji, w którym znaleźli zdechłego konia. Jak sępy rzucili się na tę padlinę. Wszyscy jedli nie zważając na okoliczności w jakich ten koń mógł zdechnąć. Mama nie mogła przemóc obrzydzenia. Na pół żywa z głodu, cicho chlipała pod pryzkami. Nie było rady, trzeba było użyć podstępów. Powiedzieliśmy, że zjedliśmy wszystko, a na najbliższej stacji Brońcia wyskoczyła, aby przetargować ciepłe skarpety. Wróciła z odrobiną kaszy i jakiegoś mięsa, więc ugotowała mamie kaszy na rosole.

Pociąg mknie na południe przez stepy. Pustka jak okiem sięgnąć. Gdzieś tam sterczą białe zeszłorocznej trawy, a czasem na horyzoncie ukaże się kilka lepierek kazackich. Gdy pociąg zatrzyma się, Kazacy podchodzą do wagonów, aby coś przetargować. Ludzie niby targują, ale każdy zwleka z zapłatą. Gdy pociąg ruszy, to każdy łapie co popadło, bo ludzie już prawie zapomnieli, jak pieniądze wyglądają. Pociąg rozwija szybkość żegnany przekleństwami i pogroźkami. Nikt się tym nie przejmuje, bo cóż nas gorszego może spotkać.

Wśród takiej biedy każdy wagon ma jak gdyby ducha opatrności. U nas jest Babcia A. Wiele ona przeżyła w swoim życiu, ale nie narzeka. Każde cierpienie przyjmuje w milczeniu mówiąc, że to jest dowód Boskiej opieki nad nami i tylko trochę cierpliwości, a wszystko zmieni się na lepsze. Opowiada różne historie ze swego życia, pociesza, a nawet zachęca do śpiewu. Cienkim, drżącym głosem zaczyna śpiewać.

Kilka osób dołącza się i pieśni kościelne rozbrzmiewają w wagonie tłumiąc ciche szlochy głodnych dzieci. Potem raptownie urywają się i jeszcze cięższy kamień spada na dusze. Babcia nie daje się załamać. Każdy zachód słońca żegna śpiewając: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a rano skoro świt: „Kiedy ranne wstają zorze”.

Jej upór i stanowczość jednała jej coraz więcej zwolenników i nawet niektórzy zaczynają myśleć na głos, jak to będzie, jak przyjedziemy na miejsce, co kto będzie robił i jak sobie życie ułoży. Żeby w końcu dojechać i zacząć coś robić, a nie siedzieć w wagonie i przymierać z głodu. Rozbudzona wyobraźnia dodaje siły i jutro nabiera żywszych kolorów.

Wyjątek z pamiętnika Michaliny:

MŁODZIENIEC

Wiatr smutny wionął po pustym stepie
 I śnieżną zamięć w obłoki wzbil
 Tam błądy tuman rwie się i trzepie
 Jak huragan rześisty pył.
 Wśród tej zamięci wiatrami gnana
 Pędzi kibitka w zawiei szlak
 I późno dzwonek dzwoni co rana
 Jakby umarłym grobowy znak.
 Z kibitki widać postać młodzieńczą
 Dumne, choć smutne wrażenie miał
 Na twarzy widać ślady rumieńca
 Lecz i ten wkrótce zginąć miał.
 Wyrżał z kibitki, potrząsnął głową
 Nie dbał czy wzbudzi Moskali gniew
 I zwrócił twarz swą w stronę zachodnią
 I taki smutny zanucił śpiew:
 Darmo, ach darmo zwracam swe oczy
 Próżno nadzieją łudzę się sam,
 Tam kraj mój ginie w czarnej ;pomroce
 Już go na zawsze utracić mam.
 Już nie zobaczę swojej rodziny
 Ni ojca swego, ni matki swej
 Ani mej drogiej lubej dziewczyny
 Nigdy, ach nigdy nie ujrzę jej.
 Łotry mi skuli w kajdany dłonie
 Lecz serca mego nie zdołali skuć
 Zdejmcież kajdany, dajcież mi broń,
 Ja was nauczę jak wolność czcić.

*

Eugeniusz Lachocki – *W drodze na Syberię*

Eugeniusz Lachocki urodził się na Polesiu. W 1940 roku został wywieziony wraz z rodziną na Syberię. W 1942 roku wyjechał stamtąd z Armią Polską tworzoną przez gen. W. Andersa w ZSRR. Walczył we Włoszech i po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu inżyniera elektroniki wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował do czasu przejścia na emeryturę. Obecnie mieszka na Florydzie. Publikowana relacja pochodzi z książki zatytułowanej *Stracone Polesie*, wydanej w roku 1993 w Stanach Zjednoczonych.

*

Patrząc na druty kolczaste poczułem się jak dziki zwierz w klatce. Za drutami zostały moje marzenia ukończenia studiów, moja młodość, moje bez-troskie życie w gronie rodziny i przyjaciół. Po tej stronie drutów utrata wolno-

ści, odpowiedzialność za rodzinę, Syberia i z nią związana pewnie ciężka praca, głód, mróz i może nawet śmierć. Przeklinałem Hitlera i Stalina.

Odwiedzający nas ludzie tłoczyli się wokoło kolczastych drutów, przekazując ostatnie pożegnania i zapewnienia pamięci i pomocy. Pod wieczór niektórzy młodzi chłopcy potrafili wymknąć się z zagrody i zmieszać się z tłumem. Żołnierze nie mieli listy więźniów, więc było trudno sprawdzić czy ktoś uciekł. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby myśleć o ucieczce, przecież nie zostawię młodsze rodzeństwo, Mamę i Babcię samych.

Wreszcie zapędzono nas znowu do swoich wagonów. Żołnierze zamknęli drzwi od zewnątrz i pociąg ruszył. Wewnątrz wagonu były prycze na podwyższeniu. Niektórzy umieścili się tam i przez małe okienko żegnali swoje domy. Inni ułożyli się na swoich tobołkach na podłodze. W środku wagonu było coś w rodzaju ubikacji z otworem w podłodze. Nikt nie korzystał, bo nie było żadnej zasłony i ludzie wstydzi się. W wagonie większość, to kobiety i dzieci, ale było też kilku chłopaków z gimnazjum i ze szkoły powszechnej.

Pociąg mknie, a systematyczne uderzenia kół o złącza szyn hipnotyzuje i znieczula. Małe dzieci ukołysane jazdą, zasypiają w ramionach matek, a inni przemęczeni wydarzeniami ostatnich dni leżeli na pryczach i na podłodze, rozmyślając o niepewnej przyszłości. Nieruchome oczy podróżników zwrócone gdzieś w dal starały się zapamiętać ostatnie obrazy rodzinnego kraju. Nikt nic nie mówił.

Mundek, młodszy kolega z gimnazjum w wieku Irki, podszedł do mnie i ofiarował mi łyk wódki z butelki, którą miał za pazuchą. Mówił, że to dobra dezynfekcja w tych nie sanitarnych warunkach. Odmówiłem, bo raczej potrzebowałem dezynfekcji swoich myśli i uczuć, a nie na sanitarne potrzeby. Nie jedziemy na wycieczkę i nie wiemy co nas czeka. Czy rodzina przetrwa i ile nas umrze z głodu? Zaczęłem rozmyślać o swoich czasach harcerskich. Jako Harcerz Orli z gimnazjalnej drużyny ciągle czułem się harcerzem i pamiętałem o przysiędze: „harcercz nie pije i nie pali”. W Łomży należałem do wodnej drużyny harcerskiej, gdzie piękna Narew wabiła do wyczynów na kajakach, łodziach i żaglówkach. Teraz jadąc w nieznaną, nie miałem najmniejszej chęci wyłamywać się z praw harcerskich, które kształtowały mój charakter i Mundek nie zdołał mnie przekonać, schował butelkę do swojego worka i położył się obok nie odzywając więcej.

Następnego dnia przekroczyliśmy granicę, która w tej chwili zasadniczo nie istniała i byliśmy już w Rosji. W Mińsku zatrzymaliśmy się na krótki czas i dano nam wiadro zupy. Pod wieczór pociąg zatrzymał się w otwartym polu. Żołnierze, którzy jechali z nami w ostatnim wagonie, otoczyli cały pociąg, otworzyli drzwi wagonów i pozwolili wyjść pod wagony w celu załatwienia się. Teraz już nie było wstydu. Ludziska siadali jedni przy drugich i napinali się jak mogli, by po kilkudniowej przerwie wypróżnić żołądki.

Jedna starsza kobieta, porządnie ubrana, zaczęła biec szybko oddalając się od pociągu. Na otwartym polu był to wysiłek bez żadnej szansy. Żołnierz szybko ją dogonił, uderzył karabinem i przywłókł z powrotem do wagonu. Na następnej stacji, gdzie dano nam gorącej wody i trochę chleba, ta sama kobieta próbowała znowu uciec, ale i tym razem eskortowano ją z powrotem. W Smoleńsku na stacji ona znowu zginęła. Gdzieś musiała się schować i pociąg ruszył bez niej. Przed Moskwą pociąg zatrzymał się i byliśmy tam dość długo. W koń-

cu zajechaliśmy na stację, i o dziwo! – żołnierz z tą panią czekali na nas. Nie wiem czym jej zagrozili, ale od tej pory więcej nie uciekała.

Pociąg dalej mknął na południowy-wschód. Ludzie w wagonie już pokonczyli swoje zapasy żywnościowe, gdyż ze sobą niewiele mogli zabrać, i teraz tylko czekali na rację chleba i gorącej wody ofiarowanych na przystankach. Tory kolejowe były pojedyncze i często staliśmy na bocznym zjeździe czekając na pociąg idący w odwrotnym kierunku. Wtedy też zwykle żołnierze otwierali wagony, żeby ludzie mogli się załatwić. W ten sposób mineliśmy Kujbyszew i przez góry Uralskie do Magnitogorska i Kartały. Byliśmy już w Azji.

Ludzie zaczęli powoli przyzwyczajać się do siebie, częściej rozmawiać i opowiadać sobie wzajemnie o ostatnich przeżyciach wojennych i o przebiegu aresztowania przez NKWD. Wspólne uwięzienie w ciasnym wagonie i długość pobytu zbliżyło duchowo większość podróżników mimo to, że różnili się bardzo intelektualnym i społecznym położeniem. Byli rzemieślnicy, rodziny policjantów, właściciele sklepów, rodziny wojskowych oficerów i państwowych urzędników oraz nauczyciele. Dzielać religijnie, byli tam Żydzi, Prawosławni i Katolicy.

Na początku maja 1940 roku dotarliśmy do Atbasar, w *akmolińskiej obłaści* w Kazachstanie. Był to piękny, słoneczny dzień, a może wydał nam się tak piękny, bo w końcu mogliśmy być na świeżym powietrzu. Wyładowaliśmy się z wagonów i ciężarówkami przewożono nas w głąb miasta.

Kazachstan

W 1940 roku miasto Atbasar miało około 20 000 mieszkańców. Było to typowe syberyjskie miasto złożone z małych budynków mieszkalnych i nielicznych małych przedsiębiorstw. Droga kolejowa przechodząca przez Atbasar łączyła Kartały ze stolicą rejonu (obłaść), Akmolińsk. Nie było bitych dróg i tylko przetarte przez step piaszczyste trakty łączyły pobliskie miasteczka i wioski. Okoliczne stopy służyły przez wiele lat jako teren wysyłki niepożądanych elementów dla cara, a później dla rządu komunistycznego.

Na dużej sali jakiegoś teatru zgromadzili cały nasz transport. Nareszcie po długiej podróży mogliśmy się wyprostować i zjeść gorącą zupę z chlebem przygotowaną dla nas przez miejscową ludność. Urzędnicy przy biurkach zadawali wiele pytań i przydzielali rodziny i grupy ludzi do rozmaitych zajęć. Nas przeznaczono do miejscowego gospodarstwa pod zarządem miejskim. Mieliśmy orać ziemię w stepie.

Po przespaniu nocy na gołej posadce z tobołkami pod głową na ogólnej sali teatru, załadowano nas na wóz ciągniony przez woły. Po krótkiej podróży znaleźliśmy się w otwartym polu. W pobliżu pasły się woły pilnowane przez młodego Kazacha. Rozłożyliśmy duży namiot, w którym mieliśmy się wszyscy pomieścić na posiłki i spanie. Było nas trzy rodziny, sami młodzi chłopcy i nasza Mama. Mama była naszą kucharką i gotowała zupę z kluskami z dostarczonej mąki. *Brygadir*, który przyjechał z nami na koniu, pokazał jak się zaprzęga woły do pługa i rozkazał co mamy robić.

Zaprzęgało się trzy pary wołów do jednego pługa. Dezio poganiał batem woły, a ja trzymałem pług. Było nas takich pięć zespołów. Woły trzeba było umieć zaprzęgać i umieścić na odpowiednie stanowisko. Każdy zespół musiał rozpoznać swoje zwierzęta i dbać o nie.

Wieczorem przywożono nam i dla bydła wodę i *uszczotczyk* mierzył zoraną ziemię. Początkowo praca ta wyglądała zabawnie, ale po pewnym czasie odżywiani na kluskach bez mięsa i tłuszczu, zaczęliśmy odczuwać zmęczenie. Szczególnie młodszy chłopcy ciągnęli już nogi za sobą a długi bat zamiast popędzać woły, zakręcał się często na własnej szyi. Już nie pamiętam co wtedy robiły moje siostry, Irka i Alicja oraz Babcia, ale zdaje się, że pilnowały naszego bagażu, który przywieziono wtedy ze stacji kolejowej.

Ta mało wydajna praca trwała przeszło dwa tygodnie. Przyjechał *uprawlajuszczy* i powiedział, że będziemy przeniesieni do *sowchozu*. Wróciliśmy do miasta i tam załadowano nas wraz z innymi rodzinami i z naszym ciężkim bagażem na ciężarowy wóz. Pod wieczór przyjechaliśmy do miasta Kima. Tu, niektóre rodziny rzemieślnicze znalazły pracę i zostały w mieście, a resztę rozdzielono po okolicznych „sowchozach”. My dostaliśmy się do „miasowchoz” specjalizujący się w hodowli bydła i owiec na mięso dla wojska. „Miasowchoz” centrala, to mała osada, w której mieścił się główny urząd z „uprawlajuszczym” na czele, warsztaty mechaniczne z elektrownią, garaż na traktory i kombajny. Dookoła były małe domki zamieszkałe przez traktorzystów, obsługę warsztatów i biura.

W promieniu dziesięciu kilometrów znajdowały się osady, które należały do centrali i zajmowały się bydłem. Były to duże obory i domki robotników (lepianki) budowane z cegieł robionych z krowiego nawozu zmieszanego ze słomą i ziemią, później suszonych w słońcu. Do najbliższej stacji kolejowej w Atbasar było około 50-ciu kilometrów. Tutejszy teren, to otwarty step i ani jednego drzewka, nic więc dziwnego, że domy były budowane z ziemi a dachy ze słomy, bo to były jedyne materiały osiągalne w stepie. Przy brzegu małej rzeki, Inszym, rosła trzcina, która była używana jako materiał do przytrzymania dachu ze słomy. Do palenia w piecykach, używano „kiziaki”, więc starsze kobiety i dzieci chodziły po stepie i zbierały produkty krowiego trawienia, układając je później w pobliżu domu do wysuszenia.

Ulokowano całą naszą rodzinę w takiej lepiance. Wyciągnęliśmy z naszego bagażu koce i poduszki i ulokowaliśmy się na pryczach. Nie mieliśmy żadnego światła i przez jedyne okienko zaglądał księżyc. Zmęczeni po całodziennej podróży i bez posiłku, szybko usnęliśmy. W krótkim czasie, prawie jak na komendę, zerwaliśmy się wszyscy. Z sufitu spadały na nas gromadami duże karaluchy. Początkowo nie wiedzieliśmy skąd się one brały, ale wkrótce znaleźliśmy ich gniazda i musieliśmy się wynieść z lepianki. Resztę nocy przespaliśmy na dworze. Na drugi dzień rano, po nieprzespanej nocy, wysłano Mamę i Irkę do strzyżenia owiec, a Dezia do pasienia owiec. Alicja, moja najmłodsza siostra, która miała wtedy jedenaście lat, wraz z Babcią urządziły nasze mieszkanie, przepędzały karaluchy, urzędowały w kuchni i obie zbierały kiziaki w polu. O szkole dla Alicji i Dezia nie było mowy.

Przywieziona żywność z Pruzany teraz bardzo się przydała, bo nic tu nie dostawaliśmy. Po kilku dniach pojawił się chleb w państwowym sklepiku, ale zanim Polacy dowiedzieli się o tym, miejscowi ludzie rozkupili cały zapas. Natomiast za zarobione pieniądze przy oraniu pola w Atbasar kupiliśmy lampę naftową i trochę nafty.

Dezio, pasąc owce, często podskubywał je i za pazuchą przynosił do domu wełnę. Babcia zrobiła z kawałka drzewa wrzeciono i przędła nici. Wieczorami, gdy wszyscy byli w domu, robiliśmy na drutach wełniane skarpety i rękawiczki bez palców. Były one bardzo potrzebne w zimie, bo właściwie z Polski nic ciepłego nie przywieźliśmy. Mama uczyła nas, a my z zapalem płataliśmy Babci nici. Po pewnym czasie szło nam to bardzo sprawnie i dzięki ciągłym sukcesom Dezia z owcami, wyposażyliśmy wszystkich na zimę. Dezio miał też wiele innych przygód i wygod z owcami, ale o tym musiałby sam opowiedzieć.

Moim pierwszym zajęciem w sowchozie było pasienie prywatnych krów, które należały do tutejszych mieszkańców. Stali mieszkańcy sowchozu mogli mieć jedną krowę i cielaka na rodzinę. Mieli też kury i małe ogródki. Świń nikt nie miał, bo to byłoby obrazą dla Kazachów, muzułmanów. Miałem dostać za pracę pastucha jakieś wynagrodzenie w rublach lub w produktach żywnościowych.

Wcześniej z rana wszyscy wypuszczali swoje krowy i cielaki z obór w stronę stepu, a ja podłapywałem je i całe stado gnałem w głąb stepu na lepszą trawę. Krowy zasadniczo trzymały się razem i powoli posuwały się dalej. Gdy któraś trochę oddaliła się, to przyganiałem ją długim kijem bliżej stada. Wody nigdzie w stepie nie było, więc krowy piły wodę z rzeki w pobliżu osiedla dopiero po powrocie z pastwiska. Dzień bardzo się dłużył, więc często siadałem pod jakimś stogiem starego siana i pisałem swój pamiętnik, albo leżąc grzałem się w słońcu. Wyglądało to na bez troskie marnowanie czasu. Niestety nie trwało to zbyt długo.

Jednego dnia zasnąłem pod stogiem i pod wieczór obudziło mnie ryczenie bydła i wycie wilków. Gdy rozejrzałem się dookoła, to nie wierzyłem własnym oczom. Stado krów rozpierzchnęło się po całym stepie, a kilka krów rogami atakowało wilki, które próbowały porwać cielaki. Wilków było sporo i sam z kijem nie chciałem z nimi walczyć, wtedy zacząłem zganiać stado do kupy, by razem gonić je do osiedla. W międzyczasie wilki dobrały się do jednego cielaka, mimo desperackiej obrony matki. Krowa miała rogi we krwi, więc musiała niejednego wilka zranić. Teraz, gdy całe stado zbliżyło się do tej krowy i poczuło krew wilczą, zaczęły jak zwariowane biegać dookoła i nie mogłem ich zgonić do kupy. Wilki zajęły się cielakiem i nam nie przeszkadzały, a matka cielaka posuwała się za nimi, ale z daleka od stada.

Późnym wieczorem dogoniłem wszystkie krowy do osiedla a właściciele czekali na mnie z niecierpliwością. Gdy zawiadomiłem ich o ataku wilków i stracie cielaka, byli bardzo źli i zawołali weterynarza. On jeden miał dubeltówkę i trzykonną bryczkę. Kazał mi jechać z nim i wskazać miejsce wypadku. Jechaliśmy przez step galopem po ciemku, a gdy zbliżyliśmy się do stada wilków, konie zaczęły rzeć. Weterynarz wystrzelił dubeltówką w kierunku głosu wilków, a gdy zbliżyliśmy się do nich, wystrzelił raz drugi. Musiał zranić kilka wilków a reszta z piskiem zatrzymała się w oddali wyjąc przeraźliwie. W międzyczasie zabraliśmy resztki cielaka na wózek i ruszyliśmy w kierunku osiedla.

Okazało się, że cielak należał do weterynarza i z reszty mięsa zrobiono ucztę dla wszystkich właścicieli krów. Mnie oczywiście zwolniono z posady pastucha, nie dostałem żadnej zapłaty za dotychczasową służbę i zostałem przydzielony do koszenia trawy. Całe szczęście, że nie oskarżono mnie o spanie w czasie pracy. Był to koniec maja. Któregoś wieczoru napisaliśmy list do ciotki Weroniki podając tylko nasz adres. Nie pisaliśmy nic o naszych warunkach ży-

cia. Nie mieliśmy wiele nadziei na otrzymanie odpowiedzi, ale chcieliśmy tylko zawiadomić, że jesteśmy zdrowi.

Ziemia była przesiąknięta wodą z topiących się śniegów. Słońko świeciło jasno i w dzień było dosyć ciepło, więc trawa rosła w oczach. Siano kosiło się dwoma wołami zaprzęgniętymi do kosiarki zaopatrzonej w metalowe siedzenie, na którym siedział operator z batem. Krzyczało się do byków „*Cop*” – skręć w lewo, albo „*Cebe*” – skręć w prawo. Przy zaprzęganiu byków trzeba było wiedzieć, który ma być po której stronie. Było dużo kłopotu zanim poznałem swoje byki.

Sianokosy trwały aż do jesieni. Chociaż latem trawa wysychała z braku deszczu, to nie robiło różnicy, kosiło się suchą trawę. Brygada sianokosów przenosiła swoje namioty jurty z miejsca na miejsce, w zależności od tego, gdzie jeszcze była trawa. Na noc wypuszczano się woły wolno na pastwisko, by nabrały siły na następny dzień pracy. Woda dla bydła i ludzi była dowożona w beczkach na dwukołowych wózkach ciągniętych przez woły albo wielbłądy. Mieliśmy dwa konie, na których jeździło się na oklep w celu zgonienia wołów z pastwiska do pracy. Teraz trzeba było rozpoznać z całego stada swoją parę i odpowiednio ją zaprząć.

Konie kazachskie są bardzo małe i niesamowicie wytrzymałe. Przez cały dzień koń może truchtem albo galopem lecieć bez żadnego odpoczynku albo wyżywienia. Po zakończonej podróży zostawia się konia w spokoju a po pewnym czasie dostaje on wodę do picia. Jedzenie, przeważnie owies, dostaje dopiero na noc. Na drugi dzień koń jest zdolny do dalszej podróży. Po kilku takich wypadach, wypuszcza się konia na step do odpasienia się i do odpoczynku. Konie nie są używane do siły pociągowej a jeżeli zaprzęga się je do dwukołowego wózka, to aż we trzy konie.

W końcu nauczyłem się wskakiwać na konia bez siodła i mogłem zagańić bydło razem z innymi. Był to dla mnie fizyczny sukces, bo Kazacy zawsze śmiali się ze mnie, że nie mogłem nawet wskoczyć na konia. Nieraz zdarzało się, że w czasie nocy nasze stado mieszało się z innymi, należącymi do innego zespołu, albo nawet innego sowchozu, wtedy grupa tubylców Kazaków bez wielkiego wysiłku mogła rozdzielić te stada. To zwykle opóźniało zaczęcie koszenia i dlatego starano się trzymać woły w stepie z daleka od innych. Było tam też dużo wilków, ale woły wcale się ich nie bały. Jednym silnym kopnięciem kopyta mogły wilka unieszkodliwić.

Jedzenie dla nas przywożono raz dziennie razem z wodą. Była to zwykle zupa i chleb. Wszystko miało swoją cenę i szło na kredyt pracującego. Gdy przyszło do wypłaty, to zwykle byliśmy im winni i żadnej wypłaty nie dostaliśmy. Myśmy przywieźli ze sobą trochę słoniny i Mama mogłaby przesłać mi trochę, ale Kazacy byli muzułmanami i gdyby zobaczyli u mnie słoninę, to wypędziliby mnie ze swojej „jurty” i nie miałbym gdzie spać. Poza tym przestaliby być moimi przyjaciółmi. Oni nienawidzili Rosjan tak jak i my, bo normalnie te stepy i stada krów należały kiedyś do nich i oni ciągle to pamiętali. Kazacy dostali się pod panowanie toryskie w 1700 roku. Po 1917 roku komunistycznej rewolucji Kazacy próbowali oderwać się, ale im się to nie udało. Wielu właścicieli stad bydła pozabijali swoje zwierzęta, by tylko nie dostarczyć ich rządowi komunistycznemu. Dowiedzieliśmy się tych historycznych danych od starszych Kazaków, którzy nie bali się rozmawiać z nami, gdy nikogo nie było poblizu.

Pracując razem z nimi nieraz zapraszali mnie do swojej jurty na posiłek. Było to mięso specjalnie przyprawione i brało się je palcami ze wspólnego naczynia. Nazywali to *biszparmak*, co oznaczało – bierz palcami. Później podawali gorącą herbatę w małych filiżankach i okraszali ją masłem zamiast cukrem. *Jombuł*, gospodarz jurty, czekał, aż któremuś z gości odbiją się gazy, bo to oznaczało satysfakcję z posiłku i kończyło ucztę.

W sowchozie było tylko kilku Rosjan: weterynarz, nauczycielka, kilku traktorzystów i główny ślusarz w warsztacie. Wszyscy inni, włącznie z uprawlajuszczym, byli Kazachami. Starsi nie rozmawiali po rosyjsku, nosili długie brody i narodowe stroje. Żywili się przeważnie mięsem. Na pierwszym miejscu stało u nich mięso końskie, później wielbłądzie, baranie i na końcu wołowe. Przyrządzali też rozmaite sery suszone w słońcu i *kumys* z kobyłego mleka.

Narodowa literatura była na bardzo niskim poziomie, gdyż Rosjanie zmienili ich oryginalny arabski alfabet na łaciński, a w czasie naszego pobytu dostali nowy alfabet rosyjski. W szkołach dzieci musiały uczyć się czytać i pisać od początku, dlatego też dzieci uczyły się przede wszystkim języka rosyjskiego, który się nie zmieniał.

Jednego dnia, gdy Kazach przywiózł wodę dla bydła, dostarczył mi też list od Mamy, w którym pisała, że do sowchozu przyjechał nowy transport Polaków. Są to kobiety z dziećmi z Kowla. Przyjechali w rozpaczliwym stanie i teraz tylko siedzą i płaczą. Dziwią się też, jak my sobie dajemy radę w tak dziwnym kraju. Czekałem na okazję, żeby wrócić na dzień do osady i poznać nowych ludzi, ale tymczasem *brygadier* nie pozwolił mi pojechać.

W naszej brygadzie mieliśmy kilka traktorów, które grabiły skoszoną trawę na większe kupy, z których robiono później stogi. Jeden z Kazachów nauczył nas jak się robi stogi, żeby były duże, a wtedy więcej się zarobiło. Zwykle *uszczotczyk* przyjeżdżał koniem pod wieczór i mierzył te stogi. Ubite i ciężkie siano używało się na budowę ścian a środek wypełniało się luźnym sianem. Stóg wyglądał duży, ale w zasadzie był pusty. Przy grzebaniu siana często dostawał się jakiś wąż albo żmija i trzeba było uważać na te gady przy robieniu stogów. Stogi zostawały na miejscu jako zimowe zapasy jedzenia dla bydła.

Jedna z brygad, odległa od nas miała wypadek, bo traktor przy zapalaniu wystrzelił ogniem w rurę wydechową i zapalił suchą trawę. Step zaczął się palić i ogień posuwał się z błyskawiczną szybkością. Do najbliższej rzeki w tym kierunku było około pięćset kilometrów, więc cały ten teren mógł się spalić włącznie ze stogami siana, które już były ułożone. Naszą brygadę odwołano do osiedla, żeby zabrać odpowiednie przybory i wozy, które by podwoziły ludzi bliżej pożaru.

Zakręciłem się w stajniach szukając beczek na wodę, a w międzyczasie cała osada, oprócz starszych kobiet i dzieci, wyruszyła w stronę pożaru. Znalazłem w końcu dwa woły, wózek i dwie beczki. Napelniłem je wodą i zacząłem jechać też w kierunku pożaru. Na horyzoncie widać było kłęby czarnego dymu, więc łatwo było znaleźć odpowiedni kierunek. Woły posuwały się w swoim tempie i nie mogłem brygady dogonić.

Przed wieczorem zacząłem mijać smolące się stogi, ale żadnych ludzi nie widziałem. Wieczorem step wyglądał jak duże, świecące się miasto. W oddali palące się stogi robiły wrażenie oświetlonych dużych budynków, tylko zapach spalonych zwierząt przypominał o srogiej sytuacji. Późnym wieczorem dojrzałem w oddali czarne sylwetki ludzi. Spragnieni dopadli do mojej wody mówiąc, że to ocaliło ich życie. Mając jeszcze trochę wody, poganiałem woły, które szły

tak szybko jak tylko mogły przebierać nogami, z myślą, że może w stepie mogą ciągle być ludzie, którzy umierają z pragnienia. Wkrótce napotkałem następną grupę i następną, aż w końcu gdy beczki zaczęły pokazywać dno, musiałem też zawrócić w kierunku posiołka i studni.

Napełniłem znowu swoje beczki wodą i udałem się do stajni. Wy tłumaczyłem stajennemu o srogości sytuacji w stepie, więc zaprzągnął dwa wielbłądy do mojego wózka i w ten sposób mogłem o wiele szybciej wrócić do pożaru. Napotkałem po drodze wielu ludzi leżących na ziemi, którzy z gorąca, zmęczenia i pragnienia wyczerpali swoje siły i nie mogli się ruszyć. Orzeźwiłem ich wodą i ruszyłem dalej w drogę. Step ciągle się świecił rozległymi ogniskami, ale było to już bardzo daleko. Powoli wszyscy strażacy zaczęli wracać, bo już ognia nie mogli dogonić. Moja woda ciągle miała wielkie powodzenie, a gdy się wyczerpała, wziąłem kilku popalonych robotników na swój wózek i pojechaliśmy do osady.

Na drugi dzień, *uprawlajuszczy* dowiedział się od kobiet, które widziały mnie na wiosce w czasie pożaru, zawołał mnie i zaczął grozić więzieniem za dezercję. Gdy mu wytłumaczyłem, co ja właściwie robiłem i gdy inni świadkowie z pożaru potwierdzili moje zeznania, wtedy sytuacja się zmieniła i dostałem pochwałę. Mówił, że nikt nie pomyślał o potrzebie wody dla ludzi przy gaszeniu pożaru. Byłem bohaterem, ale medalu nie dostałem.

Pożar stepu strawił większość żywności dla bydła i groziło im wyginięcie z głodu. Skoncentrowano się wtedy nad innymi środkami wyżywienia, a były to pola słoneczników, jęczmienia i owsa. Kopaliśmy głębokie rowy, do których wsypywało się słoneczniki z całymi łodygami. Przesypywało się to solą, kładło się następną warstwę, a gdy rowy były pełne, zasypało się je ziemią. Słońce jeszcze dobrze przygrzewało, więc nastąpiła fermentacja i powoli tworzyła się masa zbitych łądyg. Wkrótce też nastąpiły żniwa i „kombajny” kosiły owies lub jęczmień, młóciły i przesypywały gotowe ziarno do jadących obok ciężarówek. Ziarno później przechowywało się w spichlerzach.

Gdy zaczęły się przymrozki Kazacy powoli pędzili państwowe bydło z odległych stepów w stronę osiedla. Wkrótce obory były pełne krów i cielaków. Zaczęło się uciążliwe ważenie bydła, bo przyrost roczny musiał być nadmiarowy i stwierdzony przez urzędowe ważenie. Tylko kilku młodych wysiedleńców brało w tym udział, bo to była ciężka fizyczna praca i nasi chłopcy byli za słabi. Bydło, a szczególnie cielaki, były bardzo dzikie, bo one urodziły się w stepie i tam pasły się bez specjalnej opieki ludzkiej.

W pierwszym dniu nie zdołałem złapać i przyprowadzić do wagi ani jednego cielaka. Przyszedłem do domu cały połamany i przemęczony całodziennym borykaniem się z tymi dzikimi byczkami. Na drugi dzień, jeden z młodych Kazaków nauczył mnie kilku zasadniczych chwytów i od tej pory zacząłem coraz to więcej byczków doprowadzać do wagi. Tym niemniej, fizyczny wysiłek był bardzo wielki i wieczorem ledwie mogłem się ruszyć. Powoli mięśnie się wyrobiły i zacząłem dorównywać tubylcom. Teraz bydło było w oborach i trzeba je było karmić, pić i sprzątać po nich. Krów nie wolno było doić, bo całe mleko miało być zużyte przez cielaki, ale często ukradkiem, gdy nikogo nie było w obozie, można było trochę udoić i popić. O przyniesieniu mleka do domu nie było mowy.

Przyszła zima i teraz trzeba było zwozić siano ze stogów, które ocalały w czasie pożaru i wykopywać słoneczniki, które już dobrze skwaśniały. Początkowo stogi były bardzo blisko, ale w środku zimy trzeba było wybierać się na całodzienną wyprawę. Sanki zaprzęgnięte wołami wolno posuwały się po głębokim śniegu, a step wyglądał jak białe morze. Małe pagórki wskazywały i zdradzały stogi siana, więc odsypywało się śnieg i później widłami ładowało się siano na sanki. Zwykle około pięciu sanek i tyleż robotników wyjeżdżało razem, żeby wzajemnie sobie pomagać i bronić się od wilków i nie zgubić się w stepie. W drodze powrotnej światełka osiedla były najlepszym kompasem.

Wszyscy Kazachowie byli ubrani w watowane kurtki (*fufajki*) i spodnie, a niektórzy mieli kozuchy. Na nogach mieli długie buty po kolana, robione z prasowanej owczej wełny (walonki). Ponieważ śnieg był bardzo suchy, „walonki” nie namakały i dobrze trzymały ciepło, a nogi mogły oddychać. Ja natomiast nie miałem nic takiego. Dwa swetry pod wojskową kurtką, którą zostawił nam ojciec przed aresztowaniem, długie kalessony i normalne spodnie. Na głowie miałem z zajęczej skóry dużą czapkę, którą uszyła mi Mama, bo w swojej licealnej czapce głowa by zamarzała natychmiast. Na nogach miałem wełniane skarpety owinięte gazetami dla izolacji i długie gumowe buty, które w Polsce używaliśmy w ogrodzie w czasie złej pogody. W czasie mrozu wiatr po mnie hulał, gumowe buty sztywniały i bardzo ciężko było chodzić.

Jedną z takich dalszych wypraw po siano była rzeczywiście pamiętna, bo zastała nas burza śnieżna i nie mogliśmy wrócić do osady. Tym razem kompas by się bardzo przydał. Zatrzymaliśmy się przy jednym dużym stogu, rozebraliśmy kawałek jednej ściany i w środku wypróżniliśmy wystarczająco miejsca na woły i dla nas. Sanki zostały na zewnątrz. Było tam zacisznie, a przy wołach nawet dosyć ciepło. Zawierucha trwała przez całą noc i pół następnego dnia. Po południu uspokoiło się wystarczająco, więc załadowaliśmy siano i jak najszybciej wyruszyliśmy w kierunku posesiłka w obawie, że wiatr spowoduje suchą zawieruchę śnieżną i jazda będzie niemożliwa. Woły musiały teraz torować nową drogę przez głęboki śnieg o dodatkowo obciążone ładunkiem siana, posuwały się bardzo wolno. Szliśmy piechotą obok wołów i przyspieszaliśmy je długim rzemiennym batem. Moje nogi zaczęły powoli odczuwać wpływ silnego mrozu i piekły niesamowicie. Po pewnym czasie przestały dokuczać, ale były dosyć sztywne. Nie mogłem zostać w tyle i kulejąc posuwałem się razem ze wszystkimi. Gdy dociągnęliśmy się do posesiłka zostawiłem woły i siano z towarzyszami a sam udałem się do domu, żeby ratować swoje nogi.

Mama pomogła zdjąć moje sztywne gumowe buty i natychmiast zaczęła nacierać śniegiem odmrożone nogi po łydki. Gdy biała skóra zaczęła nabierać kolorów, zacząłem wic się z bólu, wtedy Mama przygotowała ciepłą wodę w dużym naczyniu, do którego powoli zanurzyłem swoje piekące nogi. Straciłem włosy w zamrzniętych miejscach i do dziś dnia są gołe.

Wyciąganie słoneczników zasypanych w rowach nie było łatwe. Najpierw odkopaliśmy zmarzniętą ziemię a później widłami trzeba było wydzwignąć poplątane łodygi i ładować je do beczek na saniach. Przy tej operacji poderwałem się i uszkodziłem jakieś mięśnie w łopatce. Nie mogłem wcale ruszyć ręką. Zawieziono mnie do miasta Kimy i tam sanitariuszka przykleiła gorący plaster i kazała iść do domu. Korzystając z tego, że byłem w mieście powiedziałem swojemu towarzyszowi, że muszę pozostać przez kilka dni na leczenie, więc zatrzymam się u znajomych, a niech on lub kto Iny, podłapie mnie za kilka

dni. Nie musiałem wiele udawać i Kazach pojechał. Ja tymczasem zaszedłem do znajomego z Pruzany, który tu w Kimie miał swój zakład fryzjerski. Był to młody chłopak, który w Polsce był praktykantem u fryzjera, a teraz pozwolono mu otworzyć komunalny zakład. Ponieważ tu nie prowadziło się żadnej buchalterii, dlatego powodziło mu się świetnie i większość dochodu używał dla swoich i rodziny potrzeb.

Przyjęli mnie wspaniałym obiadem i przegadaliśmy cały wieczór wspominając dawne czasy. Następnego dnia spędziłem czas u znajomego we fryzjerni, a wieczorem znowu obiad i rozmowy. Dopiero trzeciego dnia znalazłem znajomego Kazacha wybierającego się do sowchozu, więc wróciłem z nim. Gdy zameldowałem się do pracy, pokazałem świstek papieru od sanitariuszki i powiedziałem, że łopotka ciągle mi dokucza. Brygadier nie umiał czytać po rosyjsku, więc musiał mi uwierzyć i dał mi lżejszą pracę przy karmieniu bydła. Bałem się, że może da tą kartkę do przeczytania komu innemu, ale brygadier nie chciał się skompromitować i w ten sposób miałem trzy dni wakacji.

Kilka dni później przyszła burza śnieżna i trwała trzy dni. Śnieg przesunął się horyzontalnie i w dzień nie widać było następnego domu. Można było łatwo zabłądzić i znaleźć się w stepie. Trzeciego dnia spaliśmy długo, bo było ciemno i cicho. W końcu trzeba było wyjść i załatwić się, ale nie mogłem otworzyć drzwi. Okazało się, że dom był zupełnie zasypany śniegiem. Wspólnie uchyliśmy trochę drzwi i zaczęło się kopanie tunelu w suchym i pylnym śniegu. Wpierw dokopaliśmy się do okna, a później w górę schodami, żeby wprowadzić trochę światła do domu. Gdy traktor z sowchozu przekopał drogę w osiedlu, wtedy zrobiliśmy tunel do ulicy. Przez kilka dni szło się do obory do pracy tunelami, ale później śnieg udeptał się a resztę rozwiął wiatr, wtedy widziało się światło dzienne.

Któregoś dnia przed Bożym Narodzeniem przyszła pocztą paczka, list od ciotki Weroniki i list od Jasi, która dostała nasz adres od ciotki. Co za uciecha! Cukier, machorka, herbata i inne drobiazgi. Wszystko to było drogocennym produktem do wymiany na chleb, masło i sery od Kazachów. Prawdziwa herbata była dla nich nieocenionym skarbem, gdyż za dawnych czasów herbata sprowadzana z Chin była jedynym i codziennym ich napojem. Teraz w Kazachstanie można było tylko nieraz dostać suszone owoce (prawie palone), które rozrabiało się w gorącej wodzie i to był jedyny płyn do picia. Polska machorka też była cenna, bo rosyjskie „kuraszki” (suszone drobne korzenie) nie miały ani mocy ani aromatu. Jedynie cukier zatrzymaliśmy dla siebie, żeby trochę osłodzić naszą niedolę.

Wigilia Bożego Narodzenia wypadła we wtorek. Pracowałem cały dzień przy sprzątanii w oborach. Przyszedłem do domu zmęczony i brudny, ale spotkała mnie niespodzianka. Alicja używając swojej pomysłowości i zdolności do ręcznych robót skonstruowała małą choinkę z gałęzi wyrwanych z nad strumyka. Udekorowała ją zabawkami z papieru i ustawiła na stole. Po umyciu się i skromnej kolacji zakończonej słodką herbatą zaczęliśmy śpiewać kolędy. Wzruszone głosy potęgowały się coraz to bardziej, ale w końcu Babcia rozplakała się i musieliśmy przerwać ten koncert. Po wspólnej modlitwie, prosząc o zdrowie i szczęśliwy powrót do wolnej Polski, poszliśmy spać, by na drugi dzień wrócić do pracy. Państwowy sklepik w osiedlu czasem miał rozmaite przedmioty do sprzeda-

nia. Kiedyś zauważyłem wiszącą na haku mandolinę. Wprawdzie brakowało jednej struny i była trochę pęknięta, ale cena była dostępna. Po sprawdzeniu naszych funduszków postanowiliśmy kupić ten instrument.

W czasie zimy kobiety nie miały wiele zajęć i większość czasu poświęcało się zdobyciom i przygotowaniem jedzenia. Wieczorami młodzież gimnazjalna zbierała się w jednym domku i zabawiała się śpiewami przy akompaniamencie gitary, którą przywiozła gimnazjalistka z Kowła, i mojej mandoliny. Przypominały się nam wszystkie stare piosenki harcerskie i bez ogniska obozowaliśmy w domu. W nowym transporcie Polaków były tylko matki z dziewczynkami i one powoli zaczęły przyzwyczajać się do trybu życia zesłańców. Tubylcy nie mogli nadziwić się naszym społecznym życiem, wspólnymi zabawami i śpiewom.

W końcu przyszła wiosna. Śnieg szybko zaczął się topić i porobiły się małe jeziora. Mały strumyk, który przepływał koło osiedla był początkiem rzeki Inszym i teraz stał się groźnie wyglądającą rzeką. Woda dostawała się aż do domów. Oczywiście nigdzie nie można było wyjść. Mokre „kiziaki” nie chciały się palić w piecu, a bydło w oborach ryczało z głodu. Siano już dawno się skończyło, a słoneczniki były zalane wodą, więc krowy dostawały tylko racje owsa i jęczmienia zmieszanej z makuchami (prasowane ziarna słoneczników).

Gdy śnieg się stopił i woda trochę odeszła, zrobiło się niesamowite błoto. Zasadniczo nigdzie specjalnych dróg nie było, jeździło się stepem najbliższą drogą, ale tym razem trzeba było omijać liczne jeziora, które ciągle wyglądały groźnie. Trawa zaczęła rosnać w przyśpieszonym tempie i bydło z obór zostało wypuszczone w step. Obsługa złożona wyłącznie z Kazachów wędrowała z bydłem w głąb stepu używając jeziora za wodę do picia dla bydła. Kazachowie uważali tę czynność za ich wrodzony obowiązek i przywilej i nikogo nie dopuszczali by im towarzyszył.

W miejscowym sklepie ciągle nie można było nic kupić, bo bagniste drogi utrudniły jakkolwiek transport. Nasza Babcia z innymi starszymi kobietami wybrały się do ukraińskiego kołchozu, Dońskoję, do wymiany ubrania na jedzenie. Robiły to w nocy, bo nam nie wolno było opuszczać naszego osiedla. Ukraińcy byli wywiezieni kiedyś wielkimi grupami do Kazachstanu i tu trzymając się razem tworzyli swoje kołchozy, które bardzo dobrze utrzymywali. Mieli ładne białe domki i ogródki z jarzynami i kwiatami. Od nich można było dostać rozmaite produkty rolne, jak również nauczyć się od nich ich przebiegłego sposobu bytowania w syberyjskim komunistycznym kraju.

Jak tylko ziemia wyschła zaczęło się znowu koszenie trawy. Wpierw dookoła osiedla, a szczególnie w pobliżu strumyka. Trawa tam rosła bardzo wysoka i gdyby uschła, to nie można byłoby ją skosić. Wszystkie kobiety zostały wysłane do obory z owcami do strzyżenia. Robiło się to ręcznie nożycami. Związana owca leżała na ziemi, i w przykuckach, panie z Polski próbowały pozbawić owce ich sierści. Kaleczyły je, ucinały wystające części anatomii i jakoś nigdy nie mogły wypełnić „normy”, i dlatego też niewiele mogły zarobić. Muszę wspomnieć w tej chwili, że w sowchozie każda czynność miała odpowiednik czasu i zapłata zależała od ilości godzin zarobionych. Jeżeli strzyżenie owcy miało trwać godzinę, a nasza pani męczyła się nad nią przez cały dzień, więc ona zarobiła tylko 1/8 roboczego dnia. Jeżeli przy tym dostała zupę i kawałek

chleba wartości trzech godzin pracy, więc po całym dniu była im winna dwugodzinny zarobek. Tak pracowała Irka, ale Mama potrafiła ostrzyć trochę więcej owiec i po całym dniu obie wyszły na zero.

Gdy woda w jeziorkach trochę wyschła, okazało się, że są one pełne ryb. Wszystkie mniejsze ryby zostały zjedzone przez duże szczupaki, a te teraz niemrawe dusiły się z braku tlenu. Woda wysychała i wsiąkała w ziemię jeziora stały się płytkie. Było to odkrycie dla nas wielkim skarbem, bo teraz codziennie mogliśmy mieć zupę rybną ze złapanych rękoma lub improwizowaną siatką, szczupaków. Alicja była najlepszym rybakiem, bo chyba pamiętała dawne czasy nad Muchawcem, gdzie łapało się miętusy i szczupaki płaskimi koszami. Kazacy najwyraźniej tym się nie interesowali, bo to przecież mięsożerny naród.

Później latem, Babcia wykryła, że niedaleko strumyka rosły grzyby. Były one podobne do naszych prawdziwków, ale tu przecież nie ma lasów i podejrzane grzyby baliśmy się spróbować. Nasze żywnościowe zapasy już dawno się wyczerpały, w sklepie nic nie można było dostać, a wymienić też już nie było z czego. Babcia powiedziała, że jest już stara i jeżeli nawet zatruje się grzybami, to przynajmniej reszta rodziny ocaleje. Wygotowała te grzyby wpierw, a później zrobiła grzybową zupę i sama ją zjadła. Stwierdziła, że jest bardzo smaczna, więc i umierać nie będzie przykro. Nic się jednak Babci nie stało, więc wszyscy dopadli do reszty zupy i dziękowali Babci za poświęcenie się.

Przy koszeniu trawy w okolicy osiedla nie było stołówki. Kazacy szli do swoich lepianek na posiłek, a my szliśmy do strumyka, nabieraliśmy wody w kubeczki, które mieliśmy ze sobą i piliśmy tą wodę bez niczego. Kazacy widząc to często dawali nam kawałek sera albo lepioskę z jęczmiennej mąki. Byliśmy im bardzo wdzięczni a oni cieszyli się, że choć trochę mogli nam pomóc. Mieliśmy wielu przyjaciół w tubylcach, którzy współczuli nam i starali się pomóc w naszej niedoli. Bardzo się cieszyli, gdy staraliśmy się porozumiewać z nimi w ich własnym języku, który wydawał się nam dość prosty i łatwy do zapamiętania. Miałem przy sobie mały notesik, w którym zapisywałem nowe kazackie słowa i tym sposobem szybciej mogłem się nauczyć.

Po skończeniu koszenia trawy w okolicy osiedla, wybraliśmy się w step. Doświadczeni zeszłorocznym pożarem, zabroniono palenia papierosów, palenia ognisk i używania starych traktorów. Kazacy zamiast palenia papierosów żuli jakieś specjalnie preparowane korzenie. W miejscach spalonych trawa była zielniejsza i wyższa. Stogi więc rosły wzwyż i wszcz.

23-go czerwca 1941 roku „uszczotczyk” przyjeżdżający do mierzenia stogów przywiózł nam wiadomość, że Niemcy napadli na Rosję i posuwają się szybko na wschód. Nie wiedzieliśmy jak tą wiadomość przyjąć i jakie zmiany to wydarzenie przyniesie, ale nadzieja wstąpiła w nasze serca z myślą, że to może doprowadzi do naszej wolności. Już ponad rok minął, gdy zabrano nas z domu. Pracujemy jak niewolnicy bez wynagrodzenia, o kromce chleba. Brak jakiegokolwiek intelektualnego zajęcia i marnowanie cennego młodzieńczego wieku jest największym ciosem dla nas. Polskie dzieci nie chodzą do żadnej szkoły, nawet rosyjskiej. Martwiłem się bardzo o Alicję, Dezia i Irkę, bo oni przede wszystkim powinni być w szkole. Polskich dzieci w ich wieku jest tu wiele i wszystkie marnują czas. Moje studia też są przerwane. Jeżeli nawet kiedyś będziemy wolni, to kiedy będziemy mogli nadrobić stracony czas nauki.

W czasie wojny rosyjsko-niemieckiej

Pod koniec sianokosów zaczęły się drobne zmiany. Zabrano do wojska duże gąsienicowe traktory, wiele bydła i większość traktorzystów. Uprawiając czy zarządził zorganizowanie kursu traktorzystów dla młodych chłopaków, którzy nie byli w wieku poborowym. Ja też dostałem się na ten kurs i musiałem bez rodziny przenieść się tymczasowo do centralnej osady.

Umieszczono nas w budynku zwanym *Obszczeje życielstwo*, który miał tylko jedno pomieszczenie z dużym piecem na środku. Wszyscy spali na siennikach wypchanych słomą, leżących na gołej, ubitej ziemi. W świetlicy, znajdującej się w budynku urzędu *uprawiającego* odbywały się teoretyczne wykłady w języku rosyjskim przez jednego z kombajnistów, który jeszcze nie został powołany do wojska. Książki były dostępne, ale alfabet rosyjski sprawiał mi wiele kłopotu. Powoli jednak obznajomiłem się z technicznymi wyrazami, a teorię silników spalinyowych znałem jeszcze z Liceum. Zdziwiłem swojego instruktora. Dawał mnie za przykład dla młodych Kazachów. Jedliśmy na kredyt w stołowni, za co w przyszłości mieliśmy odrobić pracą na traktorach. Na śniadanie dostawaliśmy kromkę chleba i słodzoną herbatę parzoną z suszonych owoców. Wieczorem dostawaliśmy drugi posiłek. Była to zwykle zupa z kapustą z mącznymi kluskami zakwaszona jakimś tłuszczem i do tego znowu kromkę chleba.

Raz w tygodniu, po lekcjach, szedłem piechotą do posiołka do Mamy, żeby wymyć się i zmienić bieliznę. Zwykle miałem towarzysza Kazacha, Marasza, który też mieszkał w tym samym posiołku. Szliśmy po śniegu po ciemku, zwracając uwagę na wytarte ślady po sankach. Często spotykaliśmy świecące oczy wilka, ale jakoś nigdy nie byliśmy zaatakowani. W czasie takiej jednej wędrówki, gdy mroźny wiatr wiał w twarz, odmroziłem nos i nogi w swoich gumowych butach. Marasz próbował mi pomóc, podpierając mnie za ramię, bo sam był w walonkach i w watowanej kurtce i wiatr mu tak nie szkodził. Dowlokłem się do osiedla z trudnością a Mama musiała znowu ratować moje kończyny nacieraniem śniegiem. W następną sobotę jeden z Kazachów wybierał się sankami do naszego osiedla, Marasz uprosił go, by zaczekał na nas zanim skończymy lekcje, by później razem jechać do osiedla.

Zbliżało się Boże Narodzenie, ale w tym roku wypadało w czwartek, postanowiliśmy więc uczcić święto wcześniej, w niedzielę 21-go grudnia. Jeszcze w czerwcu, przed początkiem wojny niemiecko-rosyjskiej dostaliśmy drugą paczkę od ciotki Weroniki. Chociaż większość produktów otrzymanych przehandlowaliśmy, to jednak trochę słodczy zachowaliśmy na tę uroczystość. Tym razem nikt nie płakał, a przy pomocy mandoliny mogliśmy śpiewać kolędy weselej.

Któregoś wieczoru zawitała do nas do szkoły traktorzystów jedna z naszych polskich pań z posiołka, „Muszka”, i prosiła nas o nocleg, bo już było za późno, żeby mogła wracać piechotą. Oczywiście, kursanci zaopiekowali się nią bardzo troskliwie, nawet przynieśli trochę zupy ze stołówki i posłali prycę na podwyższeniu, żeby nie musiała spać na ziemi. Murasz napalił w piecu i po pewnym czasie wszyscy położyli się na swoje miejsca.

W nocy obudziłem się z zawrotnym bólem głowy i gdy próbowałem wstać, byłem bliski omdlenia. Podczołgałem się do drzwi i ostatkiem sił otworzyłem je. Upadłem głową na zewnątrz i wdychając świeże powietrze powoli zacząłem odzyskiwać przytomność. Wtedy usłyszałem jęki wychodzące z różnych stron sali i

uprzytomniłem sobie, że wszyscy się potruili. Przede wszystkim pomogłem pani Muszce wydostać się z jej pryczy i wyjść na dwór. Ona leżała najwyżej i ciepłe gazy najbardziej ją zatręły. Z resztą mieszkańców było mniej kłopotu, bo otwarte drzwi i wchodzące mroźne powietrze, szybko ich otrzeźwiło. Okazało się potem, że nasz młody Kazak chciał zachować jak najwięcej ciepła, żeby pani nie zmarzła i zatkał komin na dachu dużym kamieniem. To była normalna praktyka codzienna, tylko że tym razem zrobił to za wcześnie. Rano wszyscy byliśmy bardzo bladi, z bolącymi głowami i niezdolni do nauki. Pani Muszka, półżywa, dostała podjazd do domu, więc nie musiała iść piechotą. Całe szczęście, że przygoda ta zakończyła się bez śmierci, do której było nam bardzo blisko.

Przyszły w końcu egzaminy teoretyczne a później praktyczne, które polegały na umiejętności jazdy traktorem i operowaniem różnych rolniczych maszyn oraz naprawy i regulacje silników. Byłem jedynym kursantem, który dostał od razu najwyższą kategorię prawa prowadzenia traktorów. Upoważniało to mnie do operowania pojazdów nawet w nocy bez nadzoru. Zwykle do jednego traktora przeznaczano dwóch lub trzech traktorzystów, żeby traktor nigdy nie stał. W dzień pracowali traktorzyści z początkową kategorią, bo zawsze był jakiś dobry mechanik do pomocy. Natomiast w nocy nikogo nie było i trzeba było samemu dać radę szybko naprawić.

Po kursie jeszcze było za wcześnie pracować na traktorach, dlatego zostałem przydzielony do głównego ślusarza w warsztatach do naprawy traktorów i przygotowanie ich do wiosennej pracy. Pod koniec kwietnia zaczęliśmy orać ziemię traktorami na ziarno dla bydła. Wyjechaliśmy brygadą w pole i tam mieszkaliśmy w wagonie na kołach. Ziemia była jeszcze mokra po zimowym śniegu a miejscami była jeszcze zamrznięta.

Pracowało się na dwie zmiany, ja oczywiście w nocy. Przydzielili mi bardzo stary traktor bo twierdzili, że jestem dobrym mechanikiem to dam sobie radę. Po kilku nocach „uszczotczyk” stwierdził, że zużywam za dużo paliwa na ilość zoranej ziemi i nadwyżkę tę muszę pokryć z własnego zarobku. Wobec tego zacząłem robić to samo co inni, to znaczy wyciągać pługi, żeby tylko drały ziemię po wierzchu, a głębokości i tak nikt nie mierzył. Przy obozie oranie było normalne, ale gdy odjechało się dalej, to wtedy wyciągało się pługi do następnych kilku kilometrów. Przez noc można było przejechać dookoła tylko kilka razy bo przejazdy były bardzo długie. Oraliśmy step, na którym rosła tylko trawa, a ponieważ nie dawano żadnego nawozu, więc dobrego plonu trudno było się spodziewać.

Po zakończeniu oznaczonego terenu w jednym miejscu musieliśmy zwinąć nasz obóz i przejechać na inne miejsce. Dostałem pozwolenie od brygadiera na pojechanie do rodziny, żeby wykąpać się i wyprać bieliznę, a w międzyczasie Grysza, Polak z pochodzenia, pewnie potomek wygnańców z czasów Powstania Styczniowego, miał przewieźć nasz traktor na nowe miejsce. Czekaając na Kazaka, który miał mnie przewieźć na to nowe miejsce, dowiedziałem się, że mój traktor spalił się. Traktorzysta miał puszkę z benzyną, którą używało się do zapalania zimnych silników, wstawioną koło rurki oliwnej. Rurka przetarła się i oliwa wylała się w czasie jazdy. Silnik oczywiście przegrzał się i spalił. Całe szczęście, że benzyna w puszcze nie wybuchła i nic się Gryszy nie stało. Po tym wypadku Grysza, mój dzienny traktorzysta, został na posiołku i przydzielono go do obsługi koni w stajni. Było podejrzenie, że traktor spalił się z mojej winy i

mogli mnie posadzić do więzienia, ale Grysza przyznał się, że postawił naczynie z benzyną w złym miejscu i zapomniał o nim. Biorąc winę na siebie obronił mnie, ale sam został ukarany.

Czekając na przydział nowej pracy zostałem z rodziną na osadzie. Rano goląc się dobrze przytępioną żyłką, gdyż nowych ostrzy tu nie można było dostać, zauważyłem w drzwiach stojącego Griszę. Przypatrywał się z zaciekawieniem mojemu skrobaniu po twarzy i w końcu odważył się poprosić, żebym mu pozwolił użyć żyłki. Dotychczas on zawsze golił się swoim ostrym scyzorykiem i nigdy nie było go stać na brzytwę. Tłumaczyłem mu, że żyłki są bardzo tępe, ale on domagał się coraz natarczywiej, więc rozrobiłem więcej mydła i pozwoliłem mu usiąść przy lustrze. Skrobał twarz i cieszył się jak mały dzieciak. W ten sposób zdobyłem stałego przyjaciela. Później Grysza bardzo często w wolnych chwilach przychodził do mnie i jak nie było trzeciej osoby w pobliżu, opowiadał różne wydarzenia z jego życia, niepowodzenia i wykorzystywania. Ciągle twierdził, że jego przodkowie byli Polakami i on tu jest już trzecim albo czwartym pokoleniem. Nie miał do nikogo zaufania i pomimo to, że był po czterdziestce, ciągle był samotny.

Teraz nie mając traktora wróciłem do warsztatów i jako pomocnik ślusarza naprawiałem stopem ołowiowym (*babit*) łożyska do traktorów. Łożyska te bardzo często trzeba było zmieniać, bo stare traktory miały wyrobione wały Kardana i nie były już okrągłe. Systematycznie przy zmianie oliwy w silniku robiło się tzw. *podciaszkę*, wyjmowano podkładki w łożyskach żeby zmniejszyć luz. Praca w warsztacie była o tyle przyjemna, że śniadanie i kolacje jadło się w stołówce (ciągle na kredyt).

Wkrótce zabrali resztę starszych traktorzystów, kombajnistów, elektryka, obsługę warsztatu i Griszę do wojska. Został tylko kierownik warsztatu, który był inżynierem mechanicznym, z pochodzenia Niemcem znad Wołgi. On miał zorganizować młodzież do wszystkich tych prac. Ja, jako jedyny traktorzysta najwyższej klasy, dostałem zadanie prowadzenia kursu traktorzystów. Kurs prowadziłem w ten sam sposób jak mój poprzednik, tylko w przyspieszonym tempie. Wyszkoliłem dziesięciu nowych młodych Kazaków, ale większość dostała niższą kategorię. Zostałem teraz na stałe przeniesiony do warsztatów.

Golenie się było coraz trudniejsze, bo mój mały zapas żyłek wytepił się okropnie. Zacząłem zaglądać do sklepiku teraz częściej i w końcu znalazłem brzytwę i osełkę do ostrzenia. Powoli i ostrożnie uczyłem się golić brzytwą, aż doszedłem do możliwej wprawy. Szkoda, że Griszy już nie było, bo na pewno mógłby nauczyć mnie szybciej. W tym czasie Mama dostała pracę kierowniczką zakładu krawieckiego w mieście Kima. Miała ona kroić i szyć watowane kurtki i spodnie dla wojska. Dostała mieszkanie dla całej rodziny w tym samym warsztacie, a Irka mogła też zarabiać szyjąc.

W między czasie Dezio zachorował na jakąś nieznaną chorobę. Był jakiś czas w szpitalu, ale mu nic nie mogli pomóc. Wrócił więc do domu i całymi dniami i nocami leżał na dużym chlebowym piecu. Nogi mu spuchły i wcale nie mógł chodzić. Mama rozpacziała i chociaż z Babcią próbowały rozmaitych domowych lekarstw i zabiegów, Dezio ciągle był beznadziejnym inwalidą.

Zima się zbliżała i trzeba było uruchomić w sowchozie elektrownię. W czasie lata, przed poborem do wojska, elektryk rozebrał w elektrowni generator na drobne części, niby w celu naprawy i spodziewał się, że to go ochroni przed wojkiem, bo centrala sowchozu nie mogła być bez elektryczności. Szczególnie

spawanie elektryczne było bardzo potrzebne przy naprawie różnych rolniczych maszyn, gdyż nowych części nie można było dostać. Nic nie pomogło, elektryk poszedł do wojska, a elektrownia została w kawałkach. Kierownik warsztatu miał zaufanie do mnie i powierzył mi złożenie i uruchomienie elektrowni.

Z elektrotechniki w Liceum Technicznym miałem pojęcie o generatorach, ale praktycznie nie miałem żadnego doświadczenia i musiałem użyć swojej wyobraźni i zdrowego rozsądku. Po dwóch dniach trzyfazowy generator był w jednym kawałku. Teraz trzeba było wykombinować, w jaki sposób połączyć tablicę rozdzielczą i przyrządy. Była to prawdziwa łamigłówka. W końcu nadeszła chwila próby. Młody maszynista uruchomił dieslowy silnik, a ja drżącą ręką i z modlitwą w myślach próbowałem załączyć główny 3-fazowy wyłącznik. Jasny błysk – i cała jedna strona warsztatu pokryła się ciemnością. Musiałem pomylić fazy, więc od początku nowe próby połączeń. Kierownik warsztatu nie był bardzo zły i pozwolił mi wymienić z magazynu nowe żarówki i tym razem zwiększać napięcie stopniowo. Tym razem wszystko działało sprawnie i automatycznie zostałem stałym elektrykiem.

Złożenie generatora do spawania elektrycznego było o wiele łatwiejsze. Zacząłem uczyć się spawania. Było to dosyć ciężkie zadanie, bo brakowało elektrod do spawania. Wyjmowaliśmy sprężyny ze starych siedzeń samochodowych. Kowal nagrzewał je, prostował i ciął na długość normalnych elektrod. Przy użyciu spawania duża zawartość węgla w żelazie powodowała utlenianie się i rozpryskiwanie, a w miejscu spawanym prawie nic nie zostawało. Uczyłem się na dziurawych beczkach, które były z miękkiego żelaza i to trochę ułatwiało spawanie. Całe szczęście, że kierownik warsztatów był wyrozumiały i cierpliwy, poprzez dłuższy czas wypalałem większe dziury w beczkach zamiast je spawać.

Do załączenia spawarki trzeba było zarzucić pas transmisyjny na obracające się koło napędzane przez ciągle pracujący silnik dieslowy. Zawsze bałem się tej czynności, bo to dosyć niebezpieczne przedsięwzięcie. Nieraz udało mi się namówić kierownika warsztatu na zatrzymanie napędowego silnika i wtedy mogłem założyć pas transmisyjny bez kłopotu. Jednak raz, zakładając pas w czasie ruchu, pas złapał mnie przy złączu za rękaw, rzucił o ziemię i oczywiście wywichnąłem przy tym lewą rękę. W szpitalu złożono mój łokieć na miejsce i zagipsowano w zgiętej pozycji. Musiałem teraz pracować jedną ręką. Po dwóch tygodniach zdjęto gipsowy opatrunek, ale moja ręka nie mogła się wcale wyprostować. Lekarka twierdziła, że z czasem łokieć się rozrusza, a tymczasem muszę przykładać kompresy i ćwiczyć rękę. W międzyczasie były znowu pobory do wojska i zabrano kilku młodszych Kazaków i Polaków. Mnie się tym razem udało, bo kaleki ze zwichniętą ręką nie chcieli. Teraz byłem spokojniejszy, bo miałem obronę przed rosyjskim wojskiem.

Z pobliskiego kołchozu przyniesiono uszkodzony tryb z „kombajnu”, a ponieważ nie można było nowego dostać, chcieli spróbować spawania. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, ale z instrukcjami kierownika warsztatów postanowiłem podjąć się tego zadania. Jak zwykle spawanie sprężynami było niesamowicie trudne, ale w końcu wypełniłem brakujące zęby trybu a młody maszynista tokarz wykończył to dosyć zgrabnie. Kołchoźnicy zabrali tryb z zadowoleniem i wszystko wyglądało dobrze, ale za kilka dni wrócili i zagrozili procesem i więzieniem dla mnie za podrzędną pracę. Zęby trybów odpadły znowu, a oni stra-

cili czas składając i rozkładając ten kombajn. Całe szczęście, że kierownik warsztatu ujął się za mną i wyrzucił ich z warsztatu.

W soboty wieczorem po pracy dostawałem konia z siodłem i jechałem do Kimy do rodziny. Znowu byliśmy razem, opowiadaliśmy swoje przeżycia zeszłego tygodnia i zamiary na przyszłość. Dezio ciągle niedomagał, więc spróbowałem innej medycyny. Dostałem butelkę wódki od naszego znajomego fryzjera i dałem Edziowi całą szklanekę do wypicia. Nabrał trochę energii więc zabrałem go ze sobą do naszych panien na wieczorek. Tutaj chłopak rozochocił się patrząc na tańczące pary i powoli sam zaczął się ruszać. Później w domu po dobrej kolacji, na którą wszyscy złożyliśmy się, spał jak kamień. Na drugi dzień znowu zabrałem go ze sobą i teraz coraz to więcej miał energii. Powoli zaczęła opuchlizna z nóg opadać, Dezio nabrał apetytu, zaczął sam trochę chodzić a ja mogłem, spokojniejszy o jego zdrowie, wrócić do pracy w sowchozie. W następną sobotę Dezio już sam mógł dobrze chodzić.

Niektórzy znajomi Rosjanie w Kimie mieli radia i od nich mogliśmy się dowiedzieć jednostronnych wiadomości o postępie wojny. Nie były to zbyt wesołe informacje, bo ciągle słyszeliśmy o rosyjskich klęskach, ale byliśmy pewni, że Niemcy tak daleko na wschód nie dotrą. Niemców ciągle uważaliśmy za największych wrogów, bo przecież oni byli przyczyną naszej tułaczki i niewoli.

W kołchozie elektrownia pracowała dobrze, ale światła były tylko w warsztacie, w urzędach i na ulicy. Teraz mieszkańcy zaczęli się domagać, żeby im też zaprowadzić światło w domach. Nigdy tego nie robiłem, ale widziałem w Prużanie jak elektrycy włązili na słupy i przeciągali druty, więc z braku innego zajęcia zacząłem szukać materiałów w składzie. Znalazłem trochę izolatorów, które były dosyć cienkie i sprężyste (miały w sobie dużo żelaza). Bałem się wpierw wleźć na słup, gdyż moja zwichnięta ręka ciągle nie mogła się wyprostować, ale po kilku próbach zacząłem łązić po słupach jak małpa. Izolowanego drutu do instalowania w domach nie miałem, ale był drut dzwonkowy. Uprzedziłem swoich klientów, że żarówki będą się świeciły bardzo ciemno i drut może się trochę nagrzewać, ale to ich wcale nie przstraszało i ciągle nalegali na przeprowadzenie instalacji. Po kilku dniach pierwsze światło zabłyśło i dziękczynieniom nie było końca. Dostałem za to chleb i masło dla rodziny. Sam stołowałem się w jadalni, jak zwykle na kredyt. Wiele rodzin było świadkami pierwszego błysku żarówki w domu. Teraz byli przekonani, że ja wszystko potrafię.

W warsztacie musiałem zająć się reperacją urządzeń do zapłonu traktorów „magnito”. Traktory nie miały baterii i iskry do świec były wytwarzane przez urządzenie z magnesami, które po pewnym czasie traciły swoją moc i iskra była bardzo słaba. Traktorzysta musiał dobrze namęczyć się zanim ręcznie uruchomił swój silnik. Postanowiłem coś zrobić w tym kierunku i wspólnie z tokarzem skonstruowaliśmy urządzenie do ujęcia magnesu. Do tego dorobiłem cewkę z drutu i używając stałego prądu ze spawarki próbowałem wzmocnić te magnesy. Cewka składała się z wielu mniejszych cewek i połączenie ich szeregowo było tylko moją tajemnicą.

Pierwsza próba zawiodła mnie bardzo, bo zamiast wzmocnić, to rozmagnesowałem magnes zupełnie. Później odkryłem, że muszę uzgodnić polaryzację cewki i magnesów i odciągać magnes od cewki, kiedy ciągle prąd płynął w tym samym kierunku. Przerwanie prądu powodowało zmianę biegunów, co zneutralizowało magnes. Gdy traktorzysta wypróbował swój traktor z odświe-

żonymi magnesami, podziwiał moje zdolności. Wszyscy chcieli, żebym ich „magnito” naprawił, a ja miałbym zajęcie aż do wiosny. Tęskniłem bardzo za rodziną i młodzieżą, która teraz była w Kimie, i mimo to, że miałem dobrą pracę, jakoś nigdy nie mogłem wypłacić swoich długów w sowchozie. Postanowiłem opuścić go i przenieść się do Kimy. Mamy zwierzchnik dał mi odpowiednie papiery, że jestem potrzebny w szwalni, która produkuje ubrania dla wojska. Uprawiający nie miał wiele do powiedzenia, chociaż kierownik warsztatu bardzo się sprzeciwiał. Wyjechałem pozostawiając w sowchozie swoje długi.

W Kimie mieszkałem razem z całą rodziną w warsztacie. Mama miała już kilka maszyn do szycia zepsutych i moim zadaniem było naprawianie ich. Były to stare noże maszyny Singera, na których napisy ciągle były widoczne. Części zapasowych nie było, więc jako ślusarz musiałem je sam dorabiać. Nie mając żadnego warsztatu ani narzędzi, uprawiający wysłał mnie do Atbasar po zakupy. W tym czasie żadnych samochodów nie było, bo wszystkie zostały zarekwirowane dla wojska, więc jechaliśmy konną bryczką. Dopiero wieczorem dotarliśmy na miejsce i sklep już był zamknięty. Zostaliśmy na noc i Kazach pojechał do swoich znajomych, a ja do swoich Polaków, którzy tu już dobrze się urządzili. Kolega w moim wieku, Mikuś, z którym należałem jeszcze do zuchów w Prużanie, prowadził tu miejską elektrownię. W Polsce był on praktykantem w miejskiej elektrowni i widocznie wystarczająco się nauczył, żeby tu prowadzić samodzielnie elektrownię, bo cała poprzednia obsługa była już w wojsku.

Mikuś mieszkał tu z matką, młodszym bratem i siostrą. Wszyscy mnie bardzo mile ugościli. Następnego dnia, za pieniądze które dostałem od Mamy zwierzchnika, kupiłem narzędzia, które mogły być użyteczne przy naprawianiu maszyn do szycia. Z rodziną Gruszków spędziłem resztę dnia, a następnego poranka zaczęliśmy powrotną długą drogę. Konie już wystarczająco odpoczęły, więc galopem posuwały się po polnej drodze.

Już po tygodniu udało mi się wszystkie maszyny naprawić, i z braku innego zajęcia, uprawiający dał mi kilka zamków i kazał dorobić do nich klucze. Nie wiem, jak to on sobie wyobrażał, ale ja zdołałem tylko jeden zamek rozzebrać, by zbadać jego mechanizm i z kawałka żelaza wypiłować ręcznie klucz. Zabrało mi to kilka dni. W międzyczasie padał duży deszcz i frontowa ściana naszego warsztatu, zrobiona z kamieni sklepanych wapnem zapadła się i znaleźliśmy się na ulicy. Na szczęście kamienie wysypały się na zewnątrz i nikogo nie poraniły. Przez kilka dni spaliśmy w uszkodzonym budynku, chociaż było zimno i mokro. Gdy deszcz ustał, murarze naprawili ścianę i praca w warsztacie zaczęła na nowo.

Po jakimś czasie wysłano wszystkich młodszych Polaków, wraz z nami, na kamieniołomy bazaltowe, w celu dostarczenia kamieni używanych do ostrzenia narzędzi. Kilołami rozbijaliśmy skały i ładowaliśmy je na wozy, które gdzieś je odwoziły. To nie trwało zbyt długo, bo po tygodniu zmobilizowano wszystkich zesłańców polskich zdolnych do fizycznej pracy i wysłano na budowę kolei potrzebnej dla wojska. Zwieziono nas do dużego baraku w polu, gdzie już częściowo budowa kolei była rozpoczęta, ale przypuszczalnie tych robotników zabrano do wojska. Tym razem była tu też Irka i Mama. Babcia z Deziem i Alicją zostali w Kimie w warsztacie, który był unieruchomiony. Babcia z młodszym rodzeństwem nie miała żadnych środków utrzymania i gdy pieniądze zostawione przez Mamę wyczerpały się, musiała zająć się żebractwem.

Brygadier przyjeżdżał konno z rana i wyznaczał wszystkim pracę, a wieczorem przyjeżdżał uszczotczyk, który mierzył wyrobioną ziemię. Pod wieczór przyjeżdżała polowa kuchnia z chlebem i zupą i znowu na kredyt można było zjeść. Na noc zostawali sami Polacy. Praca była bardzo ciężka, bo ręcznie łopatami kopało się ziemię na wózki, którymi przewożono się na niższe miejsca. Przekopywanie wąwozu przez górę piaszczystą posuwało się bardzo powoli.

Ponieważ mój lewy łokieć ciągle był sztywny i nie mogłem operować łopata, przeznaczono mnie do przewożenia ziemi dwukołowym wózkiem ciągnionym przez jednego konia. Było kilka takich zaprzęgów i młodszy chłopcy obsługiwali je sprawnie. Wieczorem, gdy brygadier odjechał, urządziliśmy wyścigi wózków, które wyglądały jak rzymskie Czarnoty. Gdy konie zaczęły się pnieć ze zmęczenia, przerywaliśmy te zawody i choć z pustym żołądkiem uprzyjemnialiśmy sobie czas piosenkami i tańcem. W międzyczasie konie pasły się w stepie.

Gdy zakończyliśmy kopanie przy tej górze, a inni robotnicy zaczęli montować tory, to nas wszystkich zabrano do innego miejsca, gdzie również zamieszkaliśmy w istniejącym już baraku. Wszyscy spali na pryzkach obok siebie w ubraniach, pod własnymi kocami, pod którymi w czasie dnia ukrywało się osobiste rzeczy. Kopaliśmy ziemię znowu w podobnych warunkach a głodni i zmęczeni byliśmy coraz to mniej wydajni i nasze codzienne racje żywnościowe były zmniejszane. Przestaliśmy śpiewać wieczorami i zmęczeni, leżąc na pryzkach, myśleliśmy o jakimś cudzie.

Straciliśmy rachubę czasu i minęło pewnie jeszcze kilka tygodni, aż któregoś wieczora dostaliśmy wiadomość o amnestii dla Polaków i o tworzeniu się Armii Polskiej w Rosji pod dowództwem generała Andersa. Reakcja była natychmiastowa. Wszyscy rzucili pracę i jeszcze tego samego wieczora cała polska brygada piechotą zaczęła maszerować do Kimy. Wzięliśmy ze sobą wózki z końmi, żeby przewieźć cięższe rzeczy. Szliśmy tak przez całą noc, a następnego dnia dogonił nas brygadier na koniu i namawiał, żeby wrócić do pracy, nawet groził, ale to nie odniosło żadnego skutku i maszerowaliśmy dalej.

Wolność, to bardzo silne i wzniosłe hasło. Wczoraj byliśmy niewolnikami a dziś możemy powiedzieć – Nie! Wieczorem dotarliśmy do jakiegoś kołchozu i wynajęliśmy furmanki, które zawiozły nas do miasta. W Kimie, po odpoczynku, każdy starał się dostać jakąś pracę, żeby było z czego tymczasem utrzymać się. Tym razem panie szukały zajęcia, które by im lepiej odpowiadało. Mama uruchomiła znowu swój warsztat i szyła sukienki dla miejscowych Rosjanek i Kazaczek. Był to bardzo dobry interes, bo z przyniesionych materiałów często zostawały kawałki, z których Mama szyła rozmaite bluzki i koszule, i sprzedawała lub wymieniała na żywność. Irka pomagała Mamie z nową energią. Ja tymczasem wróciłem do sowchozu pod warunkiem, że wszystkie moje stare długi zostaną umorzone.

Elektrownia nie potrzebowała mojej pomocy, bo młody praktykant, którego zostawiłem, umiał sam ją uruchomić, a nikt generatorów więcej nie rozbierał. Zająłem się naprawą elektrycznych części traktorów, a przede wszystkim magnosowaniem „magnit”. Teraz płacono mi dzienną stawkę i nie musiałem wyrabiać żadnej normy. Zbierałem w ten sposób pieniądze na przyszłą podróż do polskiego wojska. Na wiosnę dostaliśmy list od ojca, w którym pisał o swoim pobycie w łagrze i później w polskim wojsku. Pisał, że będąc w łagrach napisał list do Wero-

niki i dostał od niej nasz adres. Obiecał też przysłać nam odpowiednie papiery z dowództwa, pozwalające na wyjazd całej rodziny na południe.

W marcu 1940 roku w nocy ojciec został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Prużanie, stąd przesłano go do Brześcia a później do łagru w Rosji w Uchcie. Tam pracował przy kopaniu rowów melioracyjnych w zamrożonej ziemi. Na wiosnę wysłano go do kamieniołomów. Po amnestii natychmiast zameldował się do Polskiej Armii, gdzie pracuje w kancelarii sztabu generała Andersa. Sprzedajemy większość naszych rzeczy i przygotowujemy się do wyjazdu. Mama z Babcią pieką placki na wodzie, a młodsze pokolenie pakuje nasze osobiste rzeczy do worków. Walizek nie mamy, a worki można nosić na plecach. Każda osoba będzie wyposażona w swój pakunek dostosowany do jej siły.

Tymczasem przekazałem swoje obowiązki w sowchozie młodszemu Kazakom, ale nikomu nie pokazałem, jak można użyć mój przyrząd do naprawy magnet. Pewnie do dzisiaj to skomplikowane urządzenie leży gdzieś schowane w magazynie. Inni Polacy w Kimie i w okolicznych sowchozach nie byli tak szczęśliwi i bardzo nam zazdrościli. Kilka młodszych pań, zamężnych, szykowało się też do podróży z nadzieją odnalezienia męża, albo w celu wstąpienia do wojska jako sanitariuszki. Panie te wyjechały jeszcze przed nami, gdy tylko otrzymały zezwolenie od NKWD.

Żona lekarza wojskowego z 25-go Pułku Ułanów, która po śmierci swojej córki mieszkała razem z nami, miała te same nadzieje. Śmierć jej dziecka pogrzebała ją w głęboką depresję i każdą wolną chwilę spędzała na grobie dziecka rozpaczając. Gdy nastąpiła amnestia, obudziła się w niej nadzieja, że może odszuka męża. Wraz ze swoją matką wyjechały do Atbasar. Twierdziła, że będzie na stacji kolejowej wypatrywała pociągu, w którym może będzie jechał jej mąż.

Rodziny, które nie miały nikogo zdolnego do wstąpienia do wojska i nie miały wiadomości od swoich ojców czy mężów, musiały pozostać na miejscu, bo nie dostały pozwolenia od władz NKWD na wyjazd. Te osoby wróciły do Polski dopiero po wojnie, gdy nastąpiła repatriacja wysiedleńców cztery lata później. Wiele osób z innych sowchozów dało radę dostać się do wojska. Kilku moich kolegów z gimnazjum, którzy jechali z nami tym samym pociągiem do Rosji, i których wysłano do innych sowchozów, spotkałem później w polskim wojsku we Włoszech.

W końcu przyszedł dokument od ojca. Dostaliśmy zezwolenie na wyjazd z urzędu NKWD. Zakończyliśmy nasze pakowanie i zdanie warsztatu krawieckiego władzom miejskim. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi, którzy nie mogli w tej chwili wyjechać. Wynajęliśmy od Kazaków sanki z koniem i w marcu 1942 roku, tuż po świcie, wyruszyliśmy w podróż do Atbasar.

Żegnaj kraino niewoli!

*

Publikowane powyżej relacje są fragmentem historii z życia dwojga młodych ludzi: Grasi Nizioł i Genka Lachockiego, którzy wicherami wojny rzućeni zostali na Syberię a potem szukali swego miejsca w świecie.

Mąż mamy Grasi Nizioł zmarł przed II wojną światową mimo tego 10 lutego 1940 roku z siedmiorgiem dzieci w wieku 2 lat wżwyż, została ona wywieziona w okolice Archangielska. By przeżyć Grasia od 8 lat, kolejno zajmowała się opieką dziecka

rosyjskiego, zbieraniem jagód leśnych, itp. często jednak chorowała i szczęśliwie przeżywała ten czas pogardy na sowieckiej ziemi..

Po tzw. amnestii będącej rezultatem umowy zwanej potocznie Sikorski-Majski, cała rodzina dostała się do Uzbekistanu, po czym przez Pahlevi i Teheran do Isfahanu, Tam Grasia uczęszczała do szkoły. We wrześniu 1946 r. opuściła Isfahan i z grupą innych polskich dzieci wyjechała do Libanu. W okolicach Bejrutu, w Antourze miejscowa rodzina odstąpiła część swego domu rodzinie Nizioł, gdzie Grasia chodziła do polskiej szkoły w Zouku. Po trzech latach kraj ten opuszcza cała rodzina Niziołów, podobnie jak wszyscy przebywający tam Polacy i w styczniu 1948 roku zamieszkuje w Wielkiej Brytanii..

Tam Grasia uczęszczała do szkoły w Stowell Park, skąd przeniosła się do Londynu, by pracować w szwalni. Pewnej niedzieli odwiedziła znajomą i głośno opowiadała o swoich przygodach. Wtem wszedł do ich pokoju Genek i poprosił by mniej hałasowały, bo to przeszkadza mu w uczeniu się, był bowiem już studentem pragnącym zdobyć zawód inżyniera. Jednak oczarowany młodymi dziewczynami dołączył do nich, co w roku 1951 zaowocowało jego ślubem z Grasią. Po ukończeniu studiów politechnicznych przez G. Lachockiego młodzi małżonkowie zdecydowali się wyjechać w 1952 roku do Stanów Zjednoczonych. Tam Grasia rozpoczęła pracę w fabryce za 80 centów na godzinę. Postanowiła jednak uczyć się wieczorami, rozpoczynając od buchalterii, a potem jej nauka objęła pielęgniarstwo i w konsekwencji zmianę zawodu. Owocem dalszych studiów był dyplom „Teacher of Secondary Biological Science” ze stopniem BA. Od tego czasu pracowała jako nauczycielka. Będąc ambitną i bardzo zdolną osobą zdobywała dalsze stopnie: magisterski z biologii i drugi z historii. W ostatniej fazie swojej kariery wykładała na uczelni. Po czym zaczęła pisać książki.

Jej pierwsza książka *Niezapomniane jutro*, zdobyła III nagrodę w Warszawie. Druga zatytułowana *Goodbye Tomorrow* cieszyła się wielką poczytnością, natomiast trzecia pt. *The Hand of a Stranger* zyskała również szeroki krąg czytelników. Czwarta książka, to przetłumaczony pamiętnik Eugenii Deskur więźniarki z Ravensbruck, co służy dla nauczycieli jako źródło informacji o holokauście. A piąta (i chyba nie ostatnia) jest malutką, ale za to czarującą książką zatytułowaną *Orphan Ducklings*.

A teraz nieco informacji o drugim autorze powyższej relacji. Rodzina Genka Lachockiego została wywieziona do Kazachstanu, gdzie Genek zaczął „karierę” od pastucha kolchozowych krów, a już kilka lat potem walczył pod Monte Cassino. Studia ukończył w Wielkiej Brytanii i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pracę zawodową miał interesującą, projektował bowiem między innymi kluczowe urządzenia, które miały zastosowanie w lotach na księżyc i międzyplanetarnych. Poza tym opracował kilka technicznych wynalazków na które uzyskał trzy patenty. We wszystkich promach kosmicznych zawarta jest częśćka myśli inżynierskiej E. Lachockiego. Zatem w uznaniu za wkład w realizację programu Apollo i Promu Kosmicznego jego nazwisko zostało wpisane do Alei Sławy tych dwóch przedsięwzięć. Państwo Lachoccy mieszkają na Florydzie oraz są członkami Kennedy Space Centre i biorą czynny udział w różnych działaniach tego ośrodka.

Małżeństwo Państwa Lachockich żywo interesuje się sprawami polskimi. Często biorą oni udział w spotkaniach autorskich z których społeczność amerykańska dowiaduje się o ich nietrywających losach, a także o wielu sprawach dotyczących Polski. W wyniku jednego z takich spotkań pewien filozof amerykański przyrzekł, że w swoich wykładach będzie prezentował także tematy dotyczące losów Polaków na Syberii i ich dróg do wolności. Dlatego możemy być dumni z Gryzeldy i Eugeniusza Lachockich, którzy tak skutecznie rozślawiają dobre imię Polski na świecie.

Dr inż. Jan Starczewski

